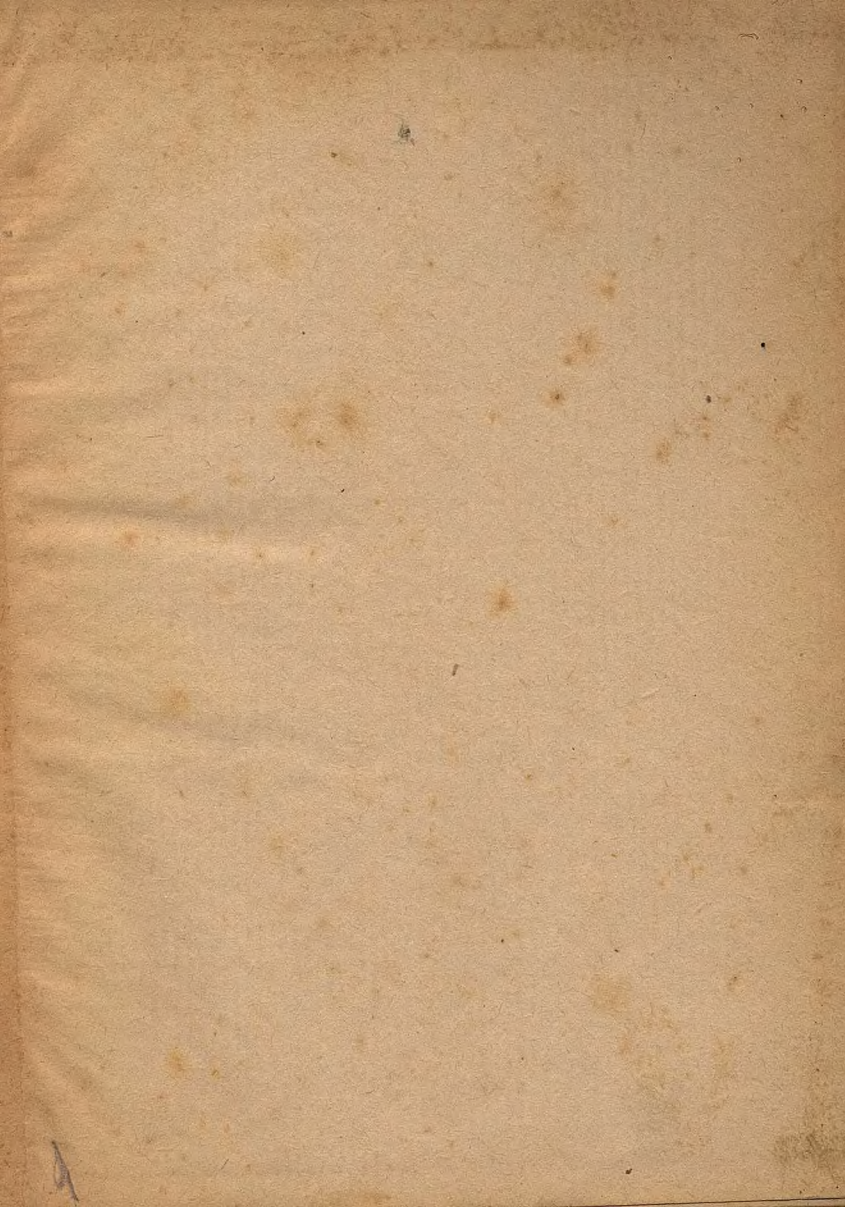




16482/6P





FELIKS ŻWARDOŃ

BIBLIOTEKA DOMU POLSKIEGO

□ □ □ WYCHODZI 3 RAZY W MIESIĄCU □ □ □

REDAKTOR I WYDAWCA IGNACY PŁAŻEWSKI

ZYGMUNT KISIELEWSKI

# FELIKS ŻWARDOŃ

JÓZEF OWSIANKA

SPRZEDAŻ KSIĄZEK DLA POPIELARNYCH  
I NAUKOWYCH WSPÓLNYM OKRĘŻKYM

KRAKÓW - TARNÓW.

*BIBLIOTEKA DOMU POLSKIEGO  
WARSZAWA.*

LPI 4c

318669  
I

Złożono i odfity w Zakładach  
Graficznych Z. Sakińskiego  
Warszawa, Miedziana 4-a.  
Okładkę projektował  
JAN POHOSKI

K-69/16482  
7.10. 20.-



Józef Karowski, student zurychskiej politechniki, wróciwszy z wykładów, wygodnie rozparł się na otomanie i zapalił papierosa.

— Jutro repetycja — hm — trzebaby się przygotować... stanowczo trzeba! — hml Ale dzień taki ładny! No i stryj — ten sknera — dał się tym razem podejść i przysłał monetę. Zwei hundert sechs und sechzig Francs — na opłacenie laboratorium!

Roześmiał się prawie na głos. Wciągał dym raz za razem, wyrzucając z pomiędzy warg mięsistych sine kłęby, aż, wypuściwszy z ust, zwinętych w ryjek, tłusty obwarzanek, cisnął ogarek przez otwór pierścienia tak zręcznie, że nie zepsuł jego brzegów.

Usiadł prosto, jakby przez jakąś myśl z pozycji leżącej zepchnięty.

— Sara Rosenzweig! — koleżanka Sara... Czasem aż korci chwycić ją w objęcia i wycałować te czarne oczy. A piersi? — Wtedy wychyliły się nieznacznie z pod bluzki...

Łobuzerski i rozpustny uśmiech rozlał się na czerstwej, okrągłej twarzy Karowskiego, niby lukier na upieczonem jabłku. Wstał raptownie, aż otomana zatrzeszczała, i rozprostował ręce i nogi.

Pomyślawszy chwilę, ubrał się i zbiegł ze schodów. Przeszedłszy Vogelsangweg, przerzynając łąkę, skręcił na lewo i puścił się na łeb na szyję po pochyłości stromo spadającej, gładkiej, twardo ubitej, jak boisko, minął szkołę ludową, opatrzoną tyłu oknami, że zdawała się być ze szkła i cegły, i zatrzymał się aż pod kamienicą, osłoniętą małym ogródkiem.

Zadarł głowę w górę i gwizdnął „po polsku”. Nie odpowiedziano. Gwizdnął drugi raz.

— Niema jej — pomyślał,

— Guten obig \*), kolego! — usłyszał za plecami kobiecy głos.

Była to koleżanka Sara. Gdy Karowski gwizdał, ona właśnie wychodziła z poza krzewów porzeczek i malin. Ożywiła się jej twarz bladoliwkowa, a duże usta złożyły się w uśmiechu, jaki miewamy w chwili miłej niespodzianki. W szalu migotliwym popielatej barwy, o włosach i oczach koloru węgla, połyskującego fioletowo, miała prawie, ale dojrzała w kształtach już dopełnionych, błyszcząc oczami, oglądała rzeźką postać kolegi.

— Już miałem odejść. Byłem zgorszony, że koleżaneczka zostawia mnie w domu, a sama hula po świecie — rzekł, podając jej rękę — i to w dzień taki piękny, jak... — urwał, uśmiechając się dowcipnie.

— Można dokończyć.

— Można? — jak osoba szanownej koleżanki Sary.

— Radzę nie próbować poetycznych porównań, ale dobre chęci uznaje się i przyjmuje — było...

---

\*) W dialekcie szwajcarskim: dobry wieczór.

— Byle, byle?... — naciskał Karowski.

Sara przegięła głowę w tył, usta jej napełniały, jakby słowo, które z nich spadnie, przekłuwało się przez ponsową skórę wargi:

— Stałe! — rzuciła mu wprost w twarz, jak kwiatem, i wpadła do sklepu.

Karowski machał laseczką, pogwizdywał i kręcił się przed oknami sklepu na niecierpliwych nogach. Gdy Sara wyszła, zawinął się około niej troskliwie, odebrał jej paczki, wiercił się, dreptał, jak kogut około swej kury. Przypomniały mu się zatracone w studenckiej, często grubijańskiej prostocie, maniery warszawskich kawalerów, aż Sara rozdrażniona jego galanterją, zakpiła:

— Przystawiacie się, jak do panny na wydaniu. Wypadało najpierw sprawdzić majątkowy stan rodziców.

— O koleżanko — koleżankol — obraził się.

Ale Sara wzięła go pod ramię.

— Pomóżcie mi wejść. Ach, te czwartaki — westchnęła, efektownie zawracając oczami i dość mocno wspierając się na rękę kolegi.

— Jest tam u mnie ciekawy człowiek.

— Nasz? — zapytał Karowski, przybierając ogromnie poważną minę.

— Wątpię, czy wasz.

— Szkoda, bo ja, jak wiecie, jestem...

— Szkoda — przerwała Sara — przedewszystkiem jesteście jeszcze neofitą. W kozie nauczylibyście się skrupulatniej rozróżniać kierunki i partje, ale teraz — szal! Chcę mieć wieczór wesoły.

W pokoju Sara zagadała pośpiesznie:

— Karowski — Żwadroń — przedstawiła. Nudziliście się z pewnością bezemnie? Za to dostaniecie zaraz herbaty. Ale wieczór będzie boski,

pójdziemy nad jezioro, dobrze? Bawcie się, moi drodzy, jak możecie, ja się zajmę herbatą.

Żwardoń spoglądał na nią niebieskimi oczyma z pewnem zdziwieniem i, uścisnąwszy rękę Karowskiego, usiadł. Wziąwszy od niego papierosa, zapalił, nie zwracając już uwagi na niezgrabne trajkotanie gospodyni. Gdy Sara skończyła, zapanaowała cisza, jak po gęstym gradzie.

Karowski pierwszy złamał milczenie:

— Podobno jesteście z prawicy? — spojrzał na Żwardonia z wyzwaniem.

— Od was słyszał? — zapytał Żwardoń Sarę, która jednak w tej chwili, nalewając spirytus do maszynki, nie dosłyszała pytania.

— To pomyłka, szanowny Kolego.

— Więc jesteście lewicowiec, jak ja?

— Nie, centrowiec. Skądkolwiek będziecie do mnie strzelali, zawsze traficie w samo centrum. Widać po twarzy, że jesteście celnym strzelcem — mówił Żwardoń spokojnie, ale dobitnie, i okrasił to pocziwym uśmiechem.

— Kapitalne! Komplement za komplement. Bo wy macie oko, jak, jak... — no poprostu, jak anioł. Trzy lata temu zostałem odznaczony w warszawskim klubie myśliwskim — zawołał ucieszony Karowski.

— No widzicie. Z flobertu?

— Nie, z lankastrówki.

— Co do mnie — wolę co innego...

— Zbójcka maszyna.

— Ale za to odznaczenie wysokie.

— Złoty medal?

— Jeszcze lepiej.

— Mój Karosiu, nudzicie mnie. Siadajcie i jedzcie — zapieczętowała Sara rozmowę.

— Ocho — ho — mnie tam już nie nabierzcie — molestował jednak Karowski.

— Wcale nie mam zamiaru. Mówię wam: ja jestem centrowiec, a wy mańkut.

Karowski nasrożył się, jak kociak na psa.

— Kolega raczy żartować — rzekł, uśmiechając się cierpko.

Żwardoń ugodził go wzrokiem, króroty wyrażał: „odczep się nakoniec, mucho utrapiona“, i powiedział:

— No więc — jestem waszych przekonani.

Karowski ofiarował mu swą rękę przez stół, zarumienił się i wyjąkał:

— Bardzo mi przyjemnie...

Żwardoń oddał uścisk, ale skrzywił się w sposób jawnie impertynencki i wziął się do krajania chleba. Zapanowało krótkie milczenie. Wreszcie podjął rozmowę Żwardoń:

— Nudno tu i jałowo u was. Coraz bardziej przekonuję się, że studenci nie są ludźmi. W czasach rzetelniejszej powagi i miary w życiu nazywano ich żakami, — dzisiaj student jest otoczony niemal aureolą heroizmu. Zdrowie i temperament młokosa uważa się za trwałe fundament pracy a potem bywa po większej części, jak z dziewicą. Czem dla dziewicy pierwsza noc rozkoszy, tem dla żaka uścisk życia. Ona traci swoją niewinność, — on swój meszek ideologiczny i staje się tem podlejszym karierowiczem, że jakoby kiedyś był młody. Co pięć, co dziesięć lat fabrykuje się nowe hasła i prądy, burzy się wszystko, co zostało „zrobione“ przedtem, świat pcha się na nowe tory przez pięć albo przez dziesięć lat — lecz w istocie swej życie oblicza nie zmienia. Wystarczy przyjrzeć się metodom walki, wglądnąć w zakulisową maszynę pierwszej lepszej grupy

społecznej — lewej, prawej, czy środkowej — a spostrzeżenie tam doprowadzające do mdłości, wrażliwszych do rozpacz, te same kółka, śrubki, stemple, świeczki i te same koła rozpędowe, źródła energii, najpospolitsze namiętności ludzkie.

— Jak wam nie wstyd płuć na te bohater-skie czyny, na te ofiary swych ideałów, które... — Karowski zaczerwieniony wykrzyknął ostatni wyraz w najwyższym pałose i urwał.

— Jak można, jak można... — powiedziała Sara nagle przygasłemi oczami, usiłując wedrzeć się w znaczenie słów Zwardonia.

— Nie widzę różnicy między „towarzyszem“ a „burżujem“. Jeden wyznaje i obwołuje swoje „ideały“, drugi także swoje „ideały“. Obaj są takimi samymi idealistami, bo rzeczywistość życia każdego z nich taksamo nic wspólnego niema z ich „zasadami“.

— Więc nie widzicie różnicy między ideowcem a fabrykantem? — wybuchnęła Sara.

— Obchodzą mnie nie gadania ludzi. ani ich poglądy, ale ich czyny. Niech każdy na swój sposób żyje w zgodzie z najgłębszą swoją naturą.

Karowski szastał się na swem miejscu, jak w gorączce. Kilka razy porywał się, aby coś wygłosić, ale wzrok Zwardonia za każdym razem przypinał go do krzesła. Wreszcie zdobył się na odwagę i krzyknął dosyć głośno:

— Zamilczcie!

Zwardoń zwrócił się do niego całą twarzą:

— Coście powiedzieli?

Oczy Karowskiego spokorniały.

— Bo jak można wypowiadać takie haniebne poglądy!

— Można, bo je wypowiadam — rzekł Żwardoń z naciskiem. — A wy się sobie nie zgadzajcie, jak wam się podoba.

Sarę dotknęły słowa Żwardonia boleśnie. Potem złość przejęła ją, jak płomień.

— Nienawidzę was — rzekła do Żwardonia.

— Dajcież spokój, Saro, nie w tym celu mówiłem przecież, aby wam robić przykrość.

— Naprawdę tak myślicie?

— Ależ są to elementarne sprawy. Tak jest.

— I możecie z tem żyć?

— Żyje mi się lepiej z tem, niż kiedyś z tą naiwną paplaniną.

— Jakże zimno być musi w waszej głowie, jakież złe, okrutne myśli chowają się poza temi oczami.

— Nie wiem, czy one są złe, ale to pewna, że nie są letnie. Jeśli wy spadniecie z pagórków swego sentymentu, to się trochę potłuczecie - nie całkiem szkodliwie; ale jeśli ja spadnę z mego wzniesienia, to już nie będzie na to ratunku.

— Uważacie mnie za sentymentalną?

— Za kobietę—uzupełnił Żwardoń.

— Fil! Cóż to za argument! Każdy burżuj operuje takimi argumentami—znowu wtargnął w rozmowę Karowski.

— No to i cóż? Dlaczego powinienbym koniecznie „operować“ innemi argumentami, niż burżuj?

— Jeżeli jesteście przynajmniej postępowcem.

— „Postępowcem“—no tak. Ale ja może nie jestem przynajmniej postępowcem.

— A to przepraszam.

Sara świeciła roziskrzonemi oczami:

— Co to miało znaczyć „kobieta“?

Żwardoń skrzywił się ironicznie:

— Koniecznie chcecie wiedzieć, co to znaczy: kobieta? Kobieta znaczy to stworzenie samotne, bez uczucia, lubieżne i przytulne, jak kot. Chyłkiem skrada się w nocy na ptaszki, ale najchętniej lubi siedzieć przy piecu i mruczeć z rozkoszy, gdy je głaskać po grzbiecie. Nic go nie obchodzi — oprócz myszy i ptaszków, i do niczego się nie przywiązuje — chyba do ciepłego kąta. Przytem jest to stworzenie piękne i złe; patrzy jasnymi, zimnymi źrenicami i, kryjąc w puchu łapek pazurki, z wściekłością uderza ogonem o ziemię. Rzucone z wysoka, pada na cztery łapki i żywi się głównie żywym mięsem. Często pożera swoje własne dzieci, bo mu są obojętne, jak każdemu stworzeniu, które jest lubieżne a beznamiętne.

— Ja taką chyba nie jestem — oburzyła się Sara.

— Może nie — drażnił się Żwardoń.

— Więc jaką? — powiedział

— Saro nie ciągnijcie mnie za języki

— Wszystko jedno, chcę wiedzieć, co też wy sobie o mnie myślicie.

— Po wierzchu kwiatki zasad, przekonań, „światopoglądów“, socjalizmu i t. d., lecz gdyby ktoś przedarł się przez ten gąszcz, ujrzy nagą kobietę o bujnych kształtach i piersiach kapłanki Astarte. W oczach obietnice wyrafinowanej miłości i pieszczot, wyuzdanych, jak wyobrażenia kleryka, a w najskrytszym kąciку duszy tli żar fantastycznych poświęceń i żądza rozkoszy z bohaterami, których dziś niema na świecie. Dlatego pogadardzacie światem. Nienawiść zajęła miejsce wzniosłości i fantastycznych uniesień. Znużona pasorzytniczą psychiką swego narodu, który, śmiertelnie znużony tysiącletniem prześladowaniem, pragnie

ukojenia w zatracie swej odrębności, znienawidzi-  
liście także Żydów. Do swej świątyni dopuścicie  
choćby najmniejszego—byle nie Żyda.

Sara spuściła głowę i szyderczo wydymając  
usta, zacięła:

— Może wy?

— Nie, ja was nie pragnę.

— Jesteście wstrętny cynik! Zmieniliście się  
do niepoznania. Ja was nienawidzę! Zresztą wszyst-  
kobym przypuszczała z waszej strony, tylko nie  
antysemityzm.

Żwardoń zniecierpliwi się.

— Nie nudźcie. Saro. Wprawdzie wszystkie  
wasze formułki nie pasują do mnie, ale przecież  
jesteście żywym człowiekiem i przeczuwacie, że  
mam słuszość. Trochę odwagi!

— Teraz jesteście w domu! Mistycyzm! —  
rzekł Karowski, zadowolony, że przeniknął myśl,  
a zgłębiwszy ją—zlekceważył.

— Naturalnie—potwierdził Żwardoń, niedbale  
ziewnąwszy.

— Kiedyście zdążyli tak wszystko przenico-  
wać?—pytała Sara.

— W piątym roku. Przedtem byłem, jak wielce  
uczony astronom, który na papierze wymierza od-  
ległości gwiazd, komenderuje słońcami, przywołu-  
je i wypędza komety, niby pastuch cieleń. Aż  
 pewnego wieczoru zauważył, że ciała niebieskie  
żyją życiem własnem, niezależnem od jego ra-  
chunków, i ze zgrozą uświadamia sobie, iż on nic  
o tych potęgach nie wie i nigdy się o nich nie  
dowie. Wraca do gabinetu, rachunki pali, drze wspa-  
niałe teorie i opuszcza gabinet na zawsze. I ogar-  
nia go radość życia. Oto jest organizmem wrzą-  
cym, którego przeznaczeniem jest zataczać hy-  
perbolę nieznanego celu, od punktu wynurzenia

się z nieświadomości metafizycznej aż do miejsca zatonięcia w końcowym punkcie śmierci. Tak właśnie jest ze mną. Przekonałem się, że teoria jest upiorem, moje ja zaś jest, gdy się czuje w pełni bezpośredniego działania. I tak sobie myślę, że wasze ciało zawiera więcej mądrości, niż wiele ksiąg bardzo mądrych. A gdy rozmawiam z ludźmi, których nazywają wybitnie inteligentnymi, trapi mnie często cikliwa nuda. Słowa ich są puste i nieżywe, jak próżnia dowcipu...

Żwardoń zerwał odrazu, jakby właśnie zobaczył coś, co pochłonęło jego uwagę.

Sara słuchała w skupieniu, oczekując końca i rozżarzonemi żrenicami wpatrując się w mówiącego.

Żwardoń w ciągu improwizacji kilkakrotnie uderzył spojrzeniem w jej twarz, a teraz przeniósł wzrok na Karowskiego, który miał minę wtajemniczonego augura i z niecierpliwością obgryzał gilzę papierosa.

— No kończcie. — Więc? — pytała, zawisnąwszy okiem na wargach Żwardonia.

Lecz Żwardoń nie słyszał.

— Jak wrzące gwiazdy w pędzie, nie znające celu — parafrazowała, rozkoszując się.

— Jak bąk buczący, kręcąc się około siebie — grubym głosem roześmiał się Karowski.

— Czemu nie kończycie? — spytała ze złością.

— Urzekliście mnie swem spojrzeniem — usmiechnął się. — Raczej ten bąk buczący, niż wasze gwiazdy.

— Albo cymbał, brzącający bez celu — zarżał Karowski' ośmielony pochwałą.

— Ha! ha! ha! — brzącający bez celu! — zaniósł się Sara nerwowym, fałszywym śmiechem.

— Karosio miewa czasem kokosowe pomysły. To świetne!

Karowski otworzył usta, odsłaniając w uśmiechu zęby białe, mocne, jak kołki w grabiach.

Sara, oparłszy się obu łopatkami o poręcz krzesła, ze złośliwym zachwytem podziwiała osobę kolegi.

— Karosiu! ha! ha! ha! Jak baki szumiące polecimy gdzieś w wichurę gwiazd rozpętanych!

— Potoczmy się z naszego Oberstrassu w niziny „Teraski!“

— Floty niema!

— Jest, jest! — zawołał trjumfalnie Karowski i, wyjąwszy z portfelu banknoty, zatrzepotał nimi w powietrzu.

Żwardoń sennie gdzieś zapatrzony, odrazu powrócił do przytomności.

— Dużo? — zapytał.

— Zwei hundert sechs und sechzig franiów!

— A to się wyśmienicie składa! Pożyczcie mi sto franków na tydzień.

— Z przyjemnością, byle nie na dłużej.

— Na tydzień.

Karowski położył stufrankówkę na stole.

— Na co wam tyle pieniędzy? — podejrzliwie błysnęła Sara na Żwardonia.

— Na wszystko. Spłukałem się do nitki w Paryżu. Pozostały mi wszystkiego dwa franki — wyjaśniał Żwardoń z zimną krwią.

— Nie pożyczajcie mu! — zawołała Sara, błędąc — wyjedzie i nie odda wam.

Karowski zerknął na Żwardonia, który z wolna złożył banknot i wsunął go do kieszeni.

— Oddam za tydzień — wycedził — ale jeżeli mi nie ufacie — mówił, wpatrując się wprost

w oczy Karowskiego i otwierając portfel — to proszę...

Karowski skoczył, jak oparzony, rozsypując się w gestach, minach i uśmiechach:

— Nie macie prawa mnie obrażać. Raz pożyczylem — rzecz skończona. Za słowa koleżanki ja przecież nie odpowiadam. Proszę was, nie obrażajcie mnie. Uczynicie mi prawdziwą przyjemność, przyjmując pożyczkę — wy, uciekający, ścigany może tułacz. .

— Dziękuję wam. Za tydzień oddam — zapewnił sucho Żwardoń. — To było paskudne, Sarol

— Co było paskudne?! — zapytała, podnosząc głowę, jak człowiek, który już miał uciec i nagle zwraca się twarzą przeciwko wrogowi.

Żwardoń uśmiechnął się.

— Podnieśliście głowę, jak wówczas, po tem zebraniu... Pamiętacie?

— Jak dzisiaj! — zapłonęła entuzjazmem. — Dwa szpalery kozaków z nahajkami, rozkaz „wychaditje gaspada!“ i ta chwila ciszy. Nikt się nie ruszył. Wyście się pierwszy odważyli! — mówiła głosem wzburzonem, przymykając oczy zamglone.

Ale Karowski objawił ciekawość.

— No i co, no i co? — zapytał rubasznie.

— Nic. Przeszedł cało.

— A wy?

— Stchórzyłam najpierw...

Karowski wydał wargi:

— Jaby tam się nie uląkł.

Sara nie raczyła usłyszeć tych słów.

— A więc mnie wypada dokończyć — pocziwie wmieszał się Żwardoń. — Zaledwie zrobiłem pierwszy krok, ktoś z obecnych tutaj wziął mnie pod rękę i przeszedł ze mną pośród kozaków.

— Byliście wtedy piękny! — wyznała Sara, rumieniąc się.

— Byłem poprostu człowiekiem pośród tej wylęklej hałastry.

— Bohaterem!

— Och Saro, Saro! Jakże wy egzaltujecie się słowami. — Lecz teraz na mnie kolej zapytać: dlaczegoście się wy tak zmienili?

— Nie znęcajcie się, podły człowieku — wybuchnęła.

— Niewieście ulęgałki — machnął ręką i ziewnął półgębkiem. — Wybaczcie moją niegrzeczność. Ale, cóż z tą „Teraską“, czy jeziorem?

— Nie wiem, pójdziemy, czy nie pójdziemy — odezwał się Karowski, posłusznie czekając na rozkaz Sary.

— Ależ oczywiście! — zawołała, odrywając rozpalone oczy z twarzy Żwardonia. Naturalnie, pójdziemy. Karosio ma flotę — idziemy!

Przez Universitätsstrasse i przez rozkoszną Rämistrasse schodzili w stronę jeziora w zespole towarzyskim niezbyt oszlifowanym. Raz po raz zarechotał po swojemu Karowski, to Sara zaniosła się śmiechem ponad miarę wesołym, to Żwardoń bąknął coś przez zęby albo wypuścił strzałkę zatrutą. Wreszcie roztoczyło się przed nimi granatowe w nocy jezioro — ale Sara zdecydowała, że przedewszystkiem należy pójść do „Teraski“.

Usiedli w samym rogu, tuż pod oknem, wychodzącym na Limmatquai. Podano wino dla Żwardonia, likier dla Karowskiego i Sary. Żwardoń pił i przeglądał pisma, nie przeszkadzając gruchać młodej parze. Sara umieściła Karowskiego przy sobie i zaczęła się do niego umizgać. Teraz już nie spoglądała na Żwardonia, ani nie starała się wciągnąć go do rozmowy. Piła dużo

i nabierała coraz więcej wesołości. Twarz jej zbladła, oczy świeciły. Było w nich coś pastwiącego się. Czuła, że trzyma Karowskiego w rękę, i rozkoszowała się swą władzą, jak palacz, wyuczający swą władzę nad drżącym automobilem: zechce, to go pchnie lotem obłąkanym, spodoba mu się — to go osadzi w miejscu albo poprowadzi lekko, łagodnie, melancholijnie.

Pozwalała zbliżać się Karowskiemu do siebie, aż dotykał niemal jej ciała; ale gdy mu się zdawało, że jego krew rozżarzyła w niej żądze, której Sara nie zdoła już ukryć, wtedy ona cuciła go i zmuszała do panowania. Głucha wściekłość wypełzała wtedy na jego twarz, a Sara wglądała mu w oczy, sondując, czy dość głęboko zapuściła jad. Zaczynała sennie nucić piosenki, wabiąc niemi, niby muskaniem strusiego pióra. Ale Karowski nie zdradzał wrażliwości na tak subtelne zaloty. Więc stroskanemi oczami wodził bezradnie, jak parobek, który znalazł się w sypialni wykwintnej damy: chwilami nawet przychodzi mu ochota splunąć na dywan, ale strach powstrzymuje go i nakazuje stać w kornej pozycji; niemniej knuje on w duszy plany zemsty i żywi chęć odwetu; skotłuje wtedy podkówkami dywany, pogruchocze rzeźbione meble, roztrzaska lustra, potarga i splugawi wszystko.

Karowski bierze jeden kieliszek za drugim i wypija duszkiem. Sara sący zwolna i spojrzeniem innem już, łaskawem i gorącym, magnetyzuje. W Karowskim chowa się gniew i złość. Krew znowu wre, jak smoła w kotle. Pożar ogarnia ciało, a świadomość widzi jeden tylko obraz: ją obnażoną. I śmiech podskórny wydiera się z wnętrza, łaskoce gardło i zmusza do półpijanego podszeptu:

— Tak wam błyszczy karczek — mówi chytrze składając usta.

Zarzuciła na kark szal i przeszyla Karowskiego wzgardliwem spojrzeniem:

— Pfuil

Jakby go ściągnięto szpicrutą. Odsunął się.

— Ależ proszę was, koleżanko... — łasił się zawstydzony.

Ścieła usta i szepnęła:

— Cicho!

Żwardoń odłożył gazetę na stolik, stojący obok, i spojrzał na Karowskiego:

— Hm — gorąco?

— Tak — likier... Pozwolicie? — doskonały!

— Dziękuję, wolę wino. Mam ochotę na bilard. Gracie?

— Naturalnie! Robię karambole, jak nic, — czasem pięć, jeden po drugim, ślicznie — pyk, pyk, pyk — w same brzuchy!

— Możebyśmy zagrali?

— Dzisiaj nie jestem jakoś usposobiony, ale, jeśli chcecie, dam wam partnera — gracz znakomity!

Karowski wstał z kanapki, ale tak niezdarnie, że łokciem szturchnął bursza w czerwonej czapeczce, który dopiero co zajął z kolegą miejsce przy najbliższym stoliku.

— Ach, verzeihen Sie — przeprosił Karowski bursza.

Ten zawadził o niego tępem, opilem spojrzeniem i nie odpowiedział.

— Więc, jeśli chcecie — mówił Karowski do Żwardonia.

— A który to?

— Ten tam, widzicie, przy trzecim stoliku odw ejścia — objaśniał Karowski, siadając.

— Brunet, z brodą?

— Tak.

— W okularach?

— Ma bardzo inteligentną twarz.

— Jak szczur, wyciągnięty z maki. — Co to za jeden?

— Lewicowiec.

— I z pewnością teoretyk albo nawet tłumacz partyjny.

Karowski sponsował.

— Dość tych kpin, szanowny kolego, wypraszam sobie to raz na zawsze. Jest rzeczą dobrego wychowania nie obrażać cudzych przekonań, zwłaszcza, jeżeli ma się na sumieniu tyle błędów — skończył i z miną człowieka, który się obruszył sam na siebie, zapadł w zgryźliwą zadumę,

— Zgadzam się z wami w zupełności — zaklecił ranę Żwardoń, przerażony możliwością nowego starcia. — Nie pozwoliliście mi dokończyć zdania, w którym właśnie zamierzałem objaśnić to moje „nawet“, ponieważ kiedyś sam próbowałem tłumaczyć i wiem, co to za żmudna praca! Ach, proszę was, ile to wymaga energii, wysiłku inteligencji, jakiego czytania w danej kwestji, żeby nie sfalszować oryginału!

— Ja nie wiem o żadnym „nawet“ to tylko wiem...

W tej chwili Żwardoń zwinnym ruchem odwrócił się i wpił się palcami w rękę owego młodzieńca, którego potrącił Karowski.

Student trzymał w ręce polską gazetę, odłożoną tam przed chwilą, i w czasie rozmowy Karowskiego ze Żwardoniem czytał ją na głos swemu koledze, w najkomicniejszy sposób belkocząc niezrozumiałe dla siebie wyrazy. Przesylabizo-

wawszy jakieś słowo, rzucał ironiczne spojrzenie na Sarę i wykrzykiwał:

— Famos, das ist famos!

— Ist es patagonische Zeitung? — dopytywał jego kolega.

— Nein, ich meine, es ist russische oder polnische Zeitung. Famos!

— Ja, ja, das ist famos!

Ręka Żwardonia przycisnęła palce studenta do drutu ramki tak mocno, że bursz, syknąwszy z bólu, całem ciałem podźwignął się z krzesła.

— Verzeihen Sie, es ist meine Zeitung. Ich hab' sie noch nicht gelesen — rzekł Żwardoń.

Gazeta padła ze stukiem na blat stolika.

— Ich danke sehr — podziękował Żwardoń i położył ją przed sobą.

Na szerokiej, pyzatej twarzy bursza odmalował się ból. Jego towarzysz był zdumiony i poprostu ogłupiał. Żwardoń nie drgnął, tylko oczy, w tej chwili zbielejące, baczenie pilnowały ruchów sąsiada.

Student przytulił palce do ust i, całując je, odezwał się do towarzysza w znaczeniu całkiem nieokreślonym: — Also?

Ten odpowiedział mu w sensie podobnym:—  
Ja! — z charakterystycznym szlochającym westchnieniem, jakie w momencie wzruszenia wydobywa się z ust Szwajcarów. Poczem wstał, odruchowo poprawił berecik i zabierał się do wyjścia. Drugi wstał również i, chuchając na palce, szedł za nim, ale zrobiwszy kilka kroków, zawrócił do Żwardonia. Żwardoń jednak w tej samej chwili podniósł się i ruszył do niego. Stanąwszy przed studentem, zapuścił oczy wprost w jego źrenice, prawą rękę niedbale oparł na poręcz krzesła

i czekał. Oczy jego wyrażały gryzącą rozkosz. Na ustach pełzał zuchwały uśmiezek. Student usiłował przemódz ból i sięgnąć do wewnętrznej kieszeni surduta, ale ręka, trzęsąc się, odmawiała posłuszeństwa.

— Nun — zaczął zmieszany.

— Also? — pytał grzecznie Żwardoń.

Student zgubił się doszczętnie. Zrazu nie odpowiedział. Starał się wywołać uśmiech, ale ukazało się coś gorzko-płakliwego. Przyłożywszy rękę do czapeczki, wykrztusił już niemal wbrew woli: „Bitte um Verzeihung“ i zanim Żwardoń zdążył odpowiedzieć: „Es thut mir leid“, — odszedł.

Sara śledziła całe zajście ze złośliwą uwagą, a skoro Żwardoń usiadł na swem miejscu, parsknęła śmiechem:

— Od bohaterstwa do błazeństwa jeden krok.

Żwardoń zachmurzył się i odparował brutalnie:

— Jak od wzniosłości do prostactwa.

— Należy mieć takt heroizmu.

— Trzeba wiedzieć, komu należy się oddać — machnął już na odlew.

W tej chwili zjawił się przy nich kelner, dopytując, czy chcą płacić. Był pewny, że go wołano, Sara odesłała go jednak czarującym uśmiechem. Kelner uklonił się, lecz zatrzymał go Karowski.

— Moi państwo! — to było bajeczne, wprost kolorowe. Proponuję koledze Bruderschaft. A to z pana cwaniak — ho! ho! — wykrzykiwał Karowski. — Nie gniewajmy się. Precz z czoła obrazy i kwasy — jakto? — aha! — precz, precz smutek wszelki! — No więc zgoda! — Champagner

prima! — zamówił u kelnera. — Szwajcar dostał po nosie i to jak elegancko! — ucieszony Karowski klepał się dłońmi po kolanach. — A dmuchał w paluszki, jakby je umaczał w kwasie siarczanym. Uważałem was za chudziaka, a tu się okazało, że posiadacie stalowe muskuły. Z wami choćby do piekła! — zakończył patetycznie.

— Szczerze żałuję, ale na mnie czas. Bawcie się, państwo, przyjemnie i wogóle wszystkiego dobrego — wymawiał się Żwardoń.

— Przeczyłam — co? — ukąsiła Sara.

— Znudziło mnie to wszystko. Bądźcie zdrowi — rzekł rozdrażniony, żegnając się.

Karowski spoważniał. Żwardoń spostrzegł to i, wkładając kapelusz na głowę, uprzedził obelżywie:

— Oddam, nie obawiajcie się!

— Wszystko, co mam, do waszej dyspozycji — odpowiedział Karowski wzruszonym głosem, kładąc portfel na stole.

— Wystarczy. Adieu — wesołej zabawy!

Żwardoń uklonił się, szybko wyszedł z kawiarni i udał się nad jezioro.

Miażdżył go ból, trawiła tęsknota straszliwa.

— Och nuda bezcelowej tułaczki! Te wszystkie ich sprawy, zagadnienia, kłótnie — o — ach! — o — ach! — Do kraju! — Po co — i do kogo? — Zatrzymała się myśl. — Do niej? — Pani Henryka! Niezgonka!

Skurczyło się w nim serce, jak od ukłucia igłą.

— Ujrzy ją przynajmniej.

— Henryko! Henryko!

— Głupie jest wszystko inne i nudne. Cóż dzisiaj pozostało człowiekowi oprócz miłości? A jeżeli mu nawet miłość odebrano?

Jezioro, mroczne, jak kobierzec ciemno-fioletowy, ruszało się ociężale tam i z powrotem, falując. A z mgieł nadwodnych wybłyskiwało czerwone światło latarni, mrużąc i drżąc, jakby płomień, czyjaś dłoń zakrywany, przedzierał się między palcami.

— Henryko! Henryko!

— Po odejściu Żwardonia pierwsza odezwała się Sara:

— Usiądźcie naprzeciwko mnie — chcę widzieć wasze oczy.

Karowski usłuchał.

— Żwardonia są ładniejsze?

— Oho! — widzicie go! O Żwardoniu ani słowa więcej — rozumiecie: ani słówka! Są to nie wasze sprawy i nic was nie powinny obchodzić.

Kelner przyniósł wino.

— Dla kogo teraz szampan? — melancholijnie zauważył Karowski. — Wspaniały chłop ten Żwardoń!

— A ja?!

— Bruderschaft?!

— Ze mną. Z tobą wypiję dzisiaj ten szampan — powiedziała, pieszcząc go rozpalonemi oczyma.

— Sara, dzisiaj?!

— Teraz. Nalewaj!

Nalewając, mówił:

— Co za wieczór! — Saro, ja was kocham...

— Ja cię również kocham. Jak ci na imię? — zapomniałam.

— Józef.

— Józiol—ha! ha! ha!—ja kocham Józial

— Józio — tak wołają na mnie w domu — roztkliwił się.—Jaka wy dziwna kobieta jesteście—taka demoniczna!—Nie wy,—ty, ty, Sara!—Ty, ty. Sara, i te twoje wściekłe oczy. Pijmy!

— Pijmy, ale bez wściekłych komplementów.

— Jedną ręką gładzisz, drugą szczypiesz. Są chwile, że chwyciłbym cię za szyję i udusił.

— Karosio! Józiol! — szepnęła z oddaniem.— Pijmy!

— Masz, Sara, i pij! dzisiaj pij! Ja wiem. Myślisz, że ja jestem bardzo głupi, ale to się jeszcze okaże.

— Z pewnością, że się okaże. Ale ja myślę, że ty masz śliczne piersi, sklepione, wypukłe i gorące.

— Piersi? — zdziwił się Karowski, nie dobrze już pojmując.—Widziałem raz...

— Co widziałeś?

— Twoje piersi z pod niedopiętej bluzki — hi! hi! hi!

Sara wstrząsnęła się w pierwszej chwili, ale potem zerwała głowę do góry i, dysząc mu w usta, pytała:

— Ładne?

— Cud!

— Pijmy!

— Ostatnie!

— Niech żyje miłość, niech żyje żądza ciała!

— Niech żyje—powtórzył Karowski.

— No dosyć! Pójdziemy, Karosio! Józiol! — ha! ha! ha! — Weźmiesz mnie pod rękę! — Niel — pójdę sama! — Zajrzała do lustra.—Wcale nieźle! No płac — idziemy! Ach ty, Karosio! Rozumiesz ty mnie?

— Jabyś cie nie rozumiał? — świetnie cię rozumiem.

— To dobrze, to doskonale, Józiu! — ha! ha! ha! — idziemy.

Szła, lśniąc w świetle kawiarni swym szalem, jak ćma przytłumionemi barwami swych szaro-srebrzystych skrzydeł. Oczy buchały czarnym płomieniem, niby dwie świece żałobne na białej chustce twarzy. I Karowski był w tej chwili piękny. Kroczył obok niej, jak niewolnik tęgi i zdrowy, a śmiałość namiętności biła z niego męską siłą. Szedł swobodnie, zawadjacko zsunawszy kapelusz na bok, jak włoski bersaglieri, szparkim krokiem biegnący w szeregu.

Na ulicy jednak Sara umilkła. Karowski mówił coś, lecz bezskutecznie. Zawinęła się w szal i maszerowała dużemi krokami, nie dbając o swego towarzysza. Jej milczenie zaskoczyło Karowskiego niespodziewanie. Nie wiedział, co z tem począć, ale miał to przeświadczenie, że Sara idzie do niego. Zresztą musi pójść, musi już pójść! Na samą myśl, że mogłaby nie pójść, podniósł się w nim ślepy gniew, jak żelazny pręt w ręku dozorca, mierzącego w łeb niesfornego zwierzęcia.

Zbliżył się do Sary i jeszcze raz spróbował. Teraz już bez ogródek:

— Idziesz do mnie?

— Naturalnie.

— Nikt cię nie zobaczy.

— Wszystko mi jedno.

Milczeli. Nareszcie już łąka i Vogelsangweg. Lecz, skoro minęli pół ulicy, Sara odwróciła się i zaczęła uciekać. Karowski skoczył za nią i otoczył ją w pasie obu rękami.

— Nie wrócisz teraz. Już za późno.

Zręcznym rzutem w bok wymknęła się i pobięła. Karowski spadł na nią, porwał na ręce

i szedł na łąkę, tuląc i całując. Napróżno broniła się i kasała jego wargi i ręce. Usiadł z nią w trawie i przywarł ciałem. Jeszcze raz chciała się uwolnić: splotła ręce na piersi i, wyprężywszy się, strząsnęła go na bok. Lecz znowu skrępował ją i zdusił.

Wtedy rozszarpała bluzkę i podała mu piersi, drgając z rozkoszy, gdy ich dotknął ustami.

-- Masz mnie, szalej! — szeptała, całując go w szyję, i przymknęła oczy.

## II.

Żwardoń pojechał do Warszawy. Dosyć miał zagranicy i jałowych sporów emigranckich. Doznawał uczucia, że się pograża w torfowisku. Nudziło go to wszystko. Zdrowemi resztkami płuc pożyłował czystego powietrza — i wrócił do kraju. Ale już po kilku dniach jęła w nim narastać pogarda. Odrazą przejmowały go twarze spokojne i lekkomyślnie wesołe, a szyderstwem -- poważne.

Z ironją, pomieszaną z uczuciem gryzącej rozkoszy, obserwował z okna swego pokoju. Pod jego nogami wrzało mrowisko. Drobne owady krzątały się gorliwie, dźwigając na swych wiotkich tułowjach ciężkie brzemie życia w postaci szpilki sosnowej albo białej poczwarki. Niekiedy zatarasowała drogę niebotyczna góra zeschłej szyszki. Trzeba było wzywać pomocy i wspólnie przesadzać niebezpieczne szczeliny. Czasem zczepiły się dwie mrówki różkami, i rozpoczynał się bój. Walily się łapkami po łebkach i stukały różkami, aż nadeszła duża pluskwa leśna i rozgoniła pokłóconych. Ale gdy przypadkiem złeciał na mrowisko łotrwróbel i, bluźnierczo ćwirkając, rozdrapał pazurkami kilkanaście komórek, — wtedy to dopiero mrówki podnosiły lament i wywijały łapkami z rozpacz.

Żwardoń patrzył, drwił — i czekał. Może się coś stanie? — co? — niewiadomo. Może wojna jakaś albo jakieś wstrząśnienie, które wywróci te domy, naszpikowane tłumem śmiesznych stworzeń. Może wogóle zdarzy się coś niesłychanego, co życie pozwoli, uprawomocni istnienie? Bo pod warstwą tego śmiechu słyhać jakby rżenie duszonego człowieka...

Śmiech. Ale już nie ten sam. To już jakby śmiech sam w sobie, bez przyczyny i bez celu, niby te żalosne, ranione pnie wierzb bez gałęzi, niewiadomo po co zostawione nad brzegiem Wisły: smutne i bezbarwne, jak zaduma bezkrwiste go mózgu, a urągające niebu...

Był piękny! O tak — był bohaterem. Ale on jeden poznał tajemnice bohaterstwa i wtedy i jeszcze później. Ten strach w głębi, potem osłabienie w całym ciele, jak w czasie morskiej choroby, żądza ucieczki, wreszcie nagle, bezmyślne rzucenie się głową w dół, na ślepo — i ocknięcie się już potem. Stało się coś. Ale czy to ja uczyniłem? Czyż ja czuję radość człowieka odpowiedzialnego, człowieka przy „zdrowym rozsądku”? Czy stało się to i stało się tak, jak chciałem ja? Czyż raczej ja nie unikałem tego — a jednak to się stało? — pomimo mej woli? Kim jestem ja? Gdzie ja jestem? Czy jestem? Jest coś, dzieje się coś — bezemnie...

To było nawet łatwe: scena była wspaniała, oklaski rozlegały się na cały świat. Pochlebstwo i uznanie, korne posłuszeństwo w oczach ludzkich, zdumienie i uwielbienie kobiet.

Byłem przez nich — teraz jestem sam.

Teraz jestem człowiekiem — albo niczem: mrówką, instrumentem, na którym wygrywa natura.

To nudne.

Więc albo pałać sobie w łeb — albo zdać się prądowi. Niechaj niesie dokądkolwiek...

Można i tak.

Nic niema godnego życia — a więc żyjmy, byle żyć!

Tylko odporem: żyć, aby żyć, — jeść, aby się mogła odbywać przemiana materji.

Po co?

Ano tak sobie...

Wreszcie może zdarzy się coś kiedyś, nastanie godzina szczęśliwa... wyrośnie na pustyni kwiat lotosu...

...na szarej, spiekłej pustyni wykwitnie biały kwiat. Wzruszy się ziemia, i grudę spiekłą, zeschlą na pecynę, przenikną soki twórcze. Pocznie się sprawa narodzin w ziarenku śpiącym oddawna, i rozsadzi skorupę ziemi jędrny pęd nowego życia. Wynijdą panny białe i aniołowie weseli i brząkaniem szczęśliwym rozbudzą martwe obszary.

— Pucółowate pyzy cherubinów Fra Angelica i tołstojowska sielanka z wieprzami racjonalnej hodowli — buchnął śmiech.

— Zadrzą struny harfiane, Apollo znijdzie żywy i żywot wszelki w pogodzie cichej będzie śnił.

— Baranki białe zabeczą i dzwonki krów zadzwonią — a tłuste osły zejną z hali, rycząc ze szczęścia.

— I stanie się pokój na ziemi,

Będziem jedli, będziemy pili,

Będziemy się weselili —

Jak Bóg da —

du-du-du —

Jak Bóg da —

du-du-du —

du-du-du.

— Gwiazdzisty duet albo św. Jerzy, ściera-  
jący smoka — zauważył sobie Żwardoń i, usły-  
szawszy jakiś furkot w powietrzu, zbliżył się  
do okna.

Wysoko nad miastem płynął aeroplan.

Latające mrówki. Latają dla pieniędzy albo  
dla sławy. Pieniądze otworzą im drzwi wszel-  
kich, nawet najdroższych restauracyj i pracownie  
nawet najlepszych krawców. Chłopisko, który, ja-  
ko monter, otrzymywał trzy ruble dziennie, — te-  
raz będzie lotnikiem, drukowanym w gazetach.  
Jeżeli karku nie skręci, zyska sławę. Panienki  
w koronkowych hałeczkach i ażurowych pończosz-  
kach będą marzyły o tem, aby z nim przeżyć bo-  
daj jedną godzinę w sferach podniebnych.

Wśród ludzi, przyglądających się wzlotowi,  
ujrzał Żwardoń swego przyjaciela, Zbigniewa Trąbs-  
kiego. Wąty, cienki mężczyzna z zachwytem wo-  
dził oczami za złotą, zlekką falującą ważką. Żwar-  
donia rozdrażnił ten zachwyt. Aeroplan usunął  
się poza mury, a Trąbski, wracając na ziemię, za-  
czepił wzrokiem o twarz Żwardonia. Przyłożył  
rękę do czoła i przekonaawszy się, że to nie zw-  
dzenie, z radością kilkakrotnie zawinął kapelu-  
szem na znak powitania. Żwardoń skinął mu obo-  
jętnie głową.

W minutę potem Trąbski obejmował przy-  
jaciela.

— Felek, jak się masz, zdrajco? Jakże ci się  
wiedzie, draniu kochany?

— Dziękuję, nieźle.

— Oho! — dziękuję — nieźle. Czyli: bardzo  
mi przyjemnie, ale wynoś się do miliona djabłów.  
Takeśmy przez te dwa lata zmądrzeli czy wzbo-  
gaciliśmy się, czy znaleźliśmy kamień filozoficz-

ny, na którym wyryto: „świat — to ja“ — żartował Trąbski.

Żwardoń uśmiechnął się, ale przemilczał.

— No więc co? — zagadnął jeszcze Trąbski.

— Nic — odpędził Żwardoń.

Trąbski gwizdnął sobie: fiu-fiu!

— Va benel — rzekł po chwili, zerkając od czasu do czasu na przyjaciela i rozglądając się po pokoju.

— No, jeszcze nie zrobiliśmy majątku. więc można przedstawić następującą ofertę: przyjechałem przedwczoraj i, szukając mieszkania, znalazłem dwa pokoje ładne, tanie, na trzeciem piętrze, z oknami na ogród, za dwadzieścia dwa ruble. Sam nie mogę wynająć, ale z kimś przyzwolę, kogoby stać było na jedenaście rubli miesięcznie, dałoby się ubić interes. Jako współlokator, będę wymarzony, cichy, dyskretny, nawet robiący herbatę. Czasem tylko odwiedzają mnie damy.

Żwardoń uśmiechnął się.

— Masz pieniądze? — zapytał Trąbski.

— Dwadzieścia rubli.

— Świetnie, ja około piętnastu. Mój Felku, nie bądź głupi, nie nadymaj się, bo mnie na to nie złapiesz, i mieszkajmy razem. Cóż ty na to?

Żwardoń godził się.

Poszli obejrzeć mieszkanie.

— Skąd wracasz? — pytał Żwardoń.

— Z Niezgonki.

— Znowu?

— Jeżdżę tam każdego lata.

— Zakochałeś się, czy ciebie kochają?

— Ja jestem stale zakochany. Kobiety są prześliczne — jakże ich nie kochać!

— Cóż tam w Niezgonce?

— Przedewszystkiem pani Henryka rozwiodła się nareszcie z tym chamem i rozpoczęła życie samodzielne. Na wsi bywa tylko w lecie, a przez cały rok mieszka w Warszawie.

— Co tutaj robi?

— Cóżby miała robić? Gra, chodzi do teatru, czyta, ubiera się ładnie i jest nadzwyczajnie miłą osobą.

— To znaczy subtelną, dobrą, czułą, wrażliwą.

— I przepiękną,—piękniejszą niż była.

— I kocha się w tobie.

Trąbski z ukosa spojrział na Żwardonia.

— Jesteśmy w przyjaźni, a co do tego, to może coś niecoś—ale tylko tyle. A ja—jak to ja.

Po chwili zagadnął Żwardoń:

— Jesteś rozpromieniony, jak iiterat po dobrym obiedzie. A czem się zajmujesz?

— Piszę, ale o tem nie lubię gadać. Dość, że pracuję i wszystko dobrze. Martwi mnie tylko jedno — że nie mam za co pojechać do Włoch.

— Niewielkie zmartwienie.

W tydzień potem Trąbski i Żwardoń zamieszkali razem, a w dwa tygodnie potem nie mieli już ani kopejki. Żwardoń po większej części milczał albo włóczył się po mieście. Czasem kłął. Trąbski pisał, czytał, od czasu do czasu pobiegł do miasta i wracał z rublem. Żwardoniowi nie przeszkadzał; pogadał zażartował, uśmiechał się—i znikał w swoim pokoju.

Po jakimś czasie jednak nędza zaczęła Żwardoniowi doskwierać. Postanowił więc starać się o jakieś zajęcie. Rozpoczął wędrowkę po biurach i wynajdywał znajomych, sympatyków i przyjaciół z przed kilku lat, szukając u nich protekcji. Przedkładał swoją inteligencję i patent gimnazjalny. Ale dostać pracę było trudno. Spotykał się z niewzru-

szonym oporem, z obojętnością albo podejrzliwością. W biurach uchodził za cyfrę, pośród znajomych zjawiał się, niby widmo strasznych dni. Onegdajszy „bohater” był dzisiaj dla jednych dziwakiem, człowiekiem niebezpiecznym dla innych. Najrozumniejszy i najlepszy z nich człowiek, w kołach „postępowych” czczony, w kołach nawet „reakcyjnych” szanowany, Ludmirski, nazywany światłym, mądrym, szlachetnym, patrzył na Żwardonia, jak na Filipa, który się wyrwał z konopi. Jako człowiek dobry, czysty i nieśmiały, nie miał serca wręcz odmówić, ale Żwardonia nie można było wpakować w żadną z szufladek ludmirskich. Nie można było o nim powiedzieć ani „dr. nauk społecznych”, ani „urodzony pedagog”, ani „nieśkazitelnym, solidnym charakter”, ani „znawcą robotniczym i dobrym popularyzator”, ani nawet „głupi ale pracowity”. Trzeba było o Żwardoniu powiedzieć: Żwardoń, a do takiego sposobu myślenia nie są ludzie przyzwyczajeni. Tem zaś trudniej przychodziło uważać go za Żwardonia, że dawniej widywano go, znano i wskazywano, kładąc palec na ustach jako na „Kieleckiego”. Jeszcze żeby ten Żwardoń zachowywał się skromniej, z pokorą z przeświadczeniem o swej winie (jakiej winie? — niełatwo sformułować), ale on sobie poczynił, jak dawny „Kielecki”, to znaczy hardo patrząc ludziom w oczy. Co gorsza, że zagranicą — prawdopodobnie w tym Paryżu! — wyostrzył sobie język i stał się „obrzydliwie cyniczny”. Taka opinia, wypowiedziana przez pannę Zofję, zabiła Żwardonia. Oczywiście postępował on nieostrożnie. Zapominał o tem, że przychodzi prosić, a miał taką minę, jakgdyby żądał. Tak nie wolno. Tacy nie otrzymają posady i nigdy — nawet w „przyszłym ustroju”.

Więc Żwardoń czuł się wśród ludzi, jak wilk

pośród stada baranów. Zdarzały się wieczory, że, jak wilk, uwięziony w klatce, tłukł się o ściany swego pokoju i kłapał z wściekłości zębami. Warszawa przedstawiała mu się, jak bezmyślna machina, spalająca w swych piecach tysiące istnień, pędząca przed siebie bez celu, pędząca dniem i nocą, bez chwili odpoczynku — jak okręt bez kapitana.

Podłe, drobnomieszczańskie miasto!

Cóż jest w niem, czemu godziłoby się oddać życie?

Zażarte ścieranie się w walce o młuto, o dziewczkę, o poklask! Indyczne serca i papuzie mózgi. Tępa, spracowana masa, tłum i kłowny, wsłuchane w jego oklaski—pienił się Żwardoń.

W końcu jednak zjawilo się zastanowienie. Czego on się właściwie wścieka? Cóż go oni właściwie obchodzą? Nie zależy przecież od nich. Jest sam. Może go zdławić ich przemoc, ale nigdy go sobie nie zniewolą. Jeszcze w chwili ostatniej poczuje siebie, a im huknie w twarz z pogardą: wyl! Podzielili się na bandy i są mocni. Przyjmują, ale pod warunkiem kapitulacji. Przenigdy! Spróbujemy się jeszcze. Kto kogo użyje — oni mnie, czy ja ich?!

Jeszcze miesiąc, dwa miesiące, a podda nam się—oni myślą. Nie posiadają nad nim innej władzy, więc złapią go na lasso głodu. Ten sznurek nie chybia nigdy. Złotemi pętlicami oplącze nogi—i zwali: będziesz nasz!

— Znam jedno oko w waszym łańcuchu — szydzi Żwardoń.

— Oko hańby!

— Hańbi tego, kto wam służy...

— Zbrodniał

— Wobec prawa waszego.

- Wobec Boga.
- Wobec Boga Waszego.
- Więc idź precz! Będziemy cię ścigali, jak psa bez obroży,
- Ścigajcie—!

Po długich zwątpieniach zapadło postanowienie. Był znudzony i zmęczony wycieraniem progów „ludzi ze stosunkami”. Cierpiał i czuł się upokorzony. Sądził, że mu się należało, — że wolno mu żądać. Ale „oni” nie dają, „oni” widocznie nie chcą dać. Skazać się na głód? — Nie, tego nie uczyni. W imię czego? Śmieszną jest rzeczą leżeć na barłogu i stękać. Upadlającą rzeczą jest głodzić się i zazdrościć tym, którzy siedzą za oknami restauracji. Nie dają — więc sam sobie weźmie!

Przeglądał twarze znajomych z tamtych czasów i zatrzymał się na jednej.

Był to dawny sympatyk na dwóch kamienicach, Eugenjusz Krępski. Tego sobie Żwardoń obejrzał i umiłował:—Zdziwi się zapewne, ujrzawszy mnie, ale będzie rad niezmiernie i niezmiernie uprzejmy.

Żwardoń ubrał się starannie, wstąpił do fryzjera i udał się do pana Eugenjusza.

Zastał go w domu. Krępski wyglądał niby figurka, wydęta z bardzo delikatnej porcelany. Policzki jego były rumiane, jak policzki dziewczęcia. Mankieciki, kołnierzyk, krawacik ze szpileczką, dwa uszka chusteczki, kukające z zewnętrznej kieszeni surduta, malowniczymi plamami świeciły na tle granatowego ubrania.

— Co za gość!— Prawdziwa niespodzianka— witał się Krępski, serdecznie ściskając dłoń Żwardonia i kłopotliwie mrugając powiekami.— Dawno

już z zagranicy i w jakich celach, jeżeli wolno pytać?

— Niedawno.

— Wracacie na stałe, czy...? — badał ostrożnie.

— Na stałe. Przychodzę do was z interesem.

— Służę wam. O cóż idzie? — rzekł, spuszcza-  
jąc rzęsy na dobre, smutne oczy.

— O pięćset rubli.

Krępski zapłonął się.

— Jakie pięćset rubli?

— Potrzeba mi pięciuset rubli.

Krępski uśmiechnął się.

— Wcale nie dużo. Ja teraz potrzebuję dzie-  
sięciu tysięcy i nie wiem, skąd je wezmę. Musimy  
to przyznać, że od piątego roku trudno o kredyt.  
Oburzaliśmy się, gdy nam burżuazja zarzucała, że  
rujnujemy przemysł, ale to przecież fakt niezbity!  
Podstawy życia ekonomicznego zostały wstrząśnię-  
te. Sami się zgodzicie, że tych strajków było chy-  
ba za dużo?

— No, ale już się poprawiło, zwłaszcza u ka-  
mieniczników.

Krępski mlasnął wargami z niesmakiem.

— I klasa robotnicza ucierpiała — dorzucił. —  
Zarobki spadają do poziomu lat dawnych, że już  
nie wspomnę o niesłychanej demoralizacji w ma-  
sach — przerwał i po chwili dodał — co sami mu-  
sicie przyznać. Wracając do was — czy długo za-  
mierzacie w Warszawie zostać? O ile wiem...

— O tem później, kochany „towarzyszu“.

— Ach, nie tytułujcie mnie tym starożytnym  
tytułem.

— Najchętniej, ale te pięćset rubli...

— Jakie pięćset rubli? — pytał Krępski cichut-

kim głosem i, wyjąwszy chusteczkę, ochładzał sobie twarz.

— Te, które mi są potrzebne.

— Jeżeli wam są tak potrzebne, to je sobie zapewne gdzieś pożyczycie.

— Naturalnie, a mianowicie u was.

Krępski bił się chusteczką po twarzy.

— Muszę pana uprzedzić, że zaszła tu pomyłka. Ja się teraz nie poczuwam do przynależności partyjnej. Zmiana w moich poglądach nie pozwala mi.

— I ja nie należę do żadnej partji, ale co to ma do rzeczy?

— Że nie jestem obowiązany dawać pieniędzy.

— Tu zaszła pomyłka jeszcze grubsza. Jest to sprawa między nami, osobista, najzupełniej prywatna. Mnie osobiście potrzeba pieniędzy i przyszedłem zażądać ich od pana.

— Jaki zażądać? — Krępski spojrzał melancholijnie.

— Bardzo prosto. Pan masz kilkanaście tysięcy rocznego dochodu, a ja nie posiadam nic. Ergo dasz mi pan pięćset rubli.

Krępski zerwał się z fotela. Prawą rękę podniósł do góry, jak człowiek, który coś piętnuje, lecz palce, zamiast wyprężyć się gniewnie, miętko, smutnie obwisały ku dołowi.

— To jest wymuszenie.

— Tak.

— Ban-ban-dytyzm.

— Jak się panu podoba.

— To jest łotr...

Zwardoń przetrzącił ostatnie słowo, zrzucając ze stołu na stopę Krępskiego masywną popielnicę.

— Takich wyrażeń używać nie radzę.

Krępski wpatrywał się w Żwardonia wystraszonemi oczami.

— Zawołam służbę — rzekł płacząco.

— To was tu wszystkich powystrzelam — zagroził Żwardoń, wsuwając rękę do pustej kieszeni.

Krępski padł w fotel i, dygocąc, otrzepywał sobie spodnie z popiołu.

— Okropny z was człowiek! — wyszeptał.

— Gdzieżtam. niech tylko pan zechce mnie zrozumieć. Idąc do pana po pięćset rubli, które mi się wcale nie należą, musiałem przedtem wszystko przewidzieć. Przypuszczałem, że może dojść między nami do nieprzyjemnej scysji. Teraz pan rozumie — wykladał Żwardoń, dużym palcem wskazując na pustą kieszeń.

Krępski nie spuszczał oka z tego palca.

— Kończmy — kazał Żwardoń.

— Dobrze, ale dwieście.

— Panie szanowny, nie występuje pan tu przecież w roli lokatora, błagającego o zniżkę komornego.

Krępski wydobył portfel i latającemi rękami wykladał na stół papierki.

— Widzicie: sto, sto pięćdziesiąt, sto siedemdziesiąt pięć, sto dziewięćdziesiąt — liczył, ostentacyjnie wytrzepując portfel.

— Żwardoń zmierzył go wściekłym spojrzeniem i energicznym ruchem kilkakrotnie nacisnął gruszkę wiszącą nad stołem.

— Każesz pan przynieść sobie kasę!

— No! — zgrzytnął Żwardoń zębami, gdy weszła służąca.

— Maryniu, przyniesiesz kasetkę, która stoi

w moim gabinecie na stolyczku, pod oknem — wykrztusił Krępski.

— Tę żelazną? — Słucham pana.

— Maryniu, przyniesiesz jeszcze szklanę zimnej wody, atrament i pióro — dodał Żwardoń.

— Dobrze, proszę pana. I wina?

— Może być i wino.

— Ciągłe jeszcze w stanie beżennym? — ironicznie zainteresował się Żwardoń po wyjściu dziewczyny.

— Tak — jęknął Krępski głosem zdławionym.

— O je! — a to co się stało panu ze spodniami — zadziwiła się Marynia, przyniósłszy kasę.

— A tobie co do pańskich spodni, he, śliwko węgierska? — rzekł Żwardoń.

— Ech — zawstydzila się — a bo kto czyści spodnie, jak nie ja?

— Pewnie, że ty, ale zabieraj się stąd.

Marynia wyszła, puszczając do Żwardonia namiętne „oko“.

— Niech się pan orzeźwi. Żaraz napiszę pokwitowanie.

„Niniejszem zaświadczam, że otrzymałem od pana Eugenjusza Krępskiego 500 rb., tytułem zwrotu pożyczki, którą tenże zaciągnął u mnie w r. 1905.

Feliks Żwardoń“.

— Wystarczy? — poinformował się, oddając kartkę Krępskiemu.

— Tak — odpowiedział Krępski głosem zrezygnowanym.

Żwardoń zwinął pakiet banknotów i wstał.

Żegnam pana. Oczywiście, radziłbym serdecznie, aby o treści naszej rozmowy nikt nigdy się nie dowiedział,

— Dobrze — szepnął Krępski.

— Żegnam pana.

— Do widzenia!

Żwardoń roześmiał się na te słowa złośliwie i wyszedł. Wracał do siebie zdenerwowany i posepnny.

Gdy wszedł do mieszkania, Trąbski zagłębiany w czytanie, siedział przy białym kuchennym stole. Twarz miał pogodną i zamyśloną.

— Są pieniądze — rzekł Żwardoń apatycznie.

— Dwa złote, czy całe pół rubla?

— Pięćset.

— Pięćset rubli? — Pokaż!

Żwardoń całymi garściami wyjmował banknoty i, gniotąc je, ciskał na stół. Trąbski z kolorowych papierków przechodził okiem na przyjaciela, który był smutny. Nie znać było tego ani w muskułach twarzy, ani w oczach, ale Trąbski poza zwykłą powagą Żwardonia dojrzał niby mgłę eteryczną, widzialną jedynie dla czułego oka malarza.

— Masz pieniądze, możesz jechać do Włoch.

Trąbski, ciągle jeszcze szukając czegoś w twarzy przyjaciela, przechadzał się po pokoju. Żwardoń rozciągnął się na łóżku.

— Pani Henryka pisała?

Trąbski zdziwił się, ponieważ Żwardoń nigdy nie rozmawiał z nim o pani Henryce.

— Przyjedzie pojutrze — odpowiedział.

— Spiesz się. Więc pojutrze zaczniesz się sielanka?

— Mógłbyś swe żądło skierować w inną stronę, zwłaszcza, że nie wierzysz w moją miłość dla pani Henryki. Inaczej nie żartowałbyś.

— Uważasz mnie za człowieka aż tak subtelnego! Ale że śliczna rozwódka kocha się w tobie, tego jestem pewien. Teraz jest wolna, kto

wiel... Należałoby mieszkanie jakoś urządzić na jej przyjęcie. W każdym razie to łóżko za trzy ruble...

Trąbski filuternie przymrużył oczy.

— Słuchaj-no, kpiarzu, żebym ja nie zaczął żartować.

— Skrzypi, jak karawan trzeciej klasy—judził Żwardoń zjadliwie.

Trąbski przystawił krzesło do łóżka i usiadł naprzeciwko Żwardonia.

— Jeżeli sobie tego życzysz... Trzy lata temu w Niezgonce...

— Niezgonka! — nigdy już jej nie zgonię — wyrwało się Żwardoniowi.

Wtedy jeszcze wiedziałem, że ją kochasz — ośmielił się wyznać Trąbski.

— Ale ona pokochała ciebie — ponuro zauważył Żwardoń.

— Ja ci jej nie zabieram... Felku.

Żwardoń błysnął okiem nienawistnie.

— I czemu pokochała? Takiego połamańca, jak ty. Dlatego tylko, że się włóczyłeś z babami po lasach i grałeś na ich nerwach. Byłeś taki chytry, żeś nigdy bardziej szczerem słowem nie zdradził swej męskiej myśli, która pogardza — musi pogardzać nastrojowością wabiących samiec. A ja wyję, jak wilk zgłodniały; cały świat utopił bym we krwi, żeby zalać pragnienie kobiety, którą pokochałem dlatego, że ma w budowie fizycznej coś z greckiej niewiasty, chociaż całą duszą należy do was, smętnych nudziarzy. Wiesz, dlaczego przed laty wyjechałem z Niezgonki? Powiedziałem jej, że ją kocham. Przez godzinę miałem nadzieję i bezwiednie roztaczałem przed nią czarę koguciego ogona. Wyznałem jej uczucie, jakiego doznawałem zawsze, w najtrudniejszych nawet

okolicznościach życia,—to uczucie tęskne i obce, że tam — gdzieś — żyje kobieta, która pocałunkiem wszystkie mozoly opłaci. Wiem, że nigdy głos mój nie brzmiał tak miękko, jak wówczas. Raz jedyny w życiu odczułem, czym jest szczęście, o jakim mówią kochankowie. Słuchała drżąc. Zdawało mi się, że dla mnie drży, i, tem oszukany, objąłem ją i pocałowałem. Krzyknęła, a potem powiedziała, że ja muszę być straszny człowiek i że się mnie boi — i poszła. W kilka dni potem opuściłem Niezgonkę i skoczyłem w ogień. Minęły trzy lata. Tyle się zmieniło, tyle już zdarzeń, ludzi, myśli i grobów poza mną, tyle wzgardy i nienawiści dla ludzi zebrało się we mnie—ale ją tak pamiętam, jakbym ją poznał wczoraj.

Trąbski blady gorejącymi oczyma śledził twarz przyjaciela.

— Obmierzło mi to wszystko!—rzekł do siebie Żwardoń.

— Ale cóż ja temu winien jestem, żeś mi tak naurągał — wyrzucił Trąbski przyjacielowi niemal pieszczotliwie.

— Czasy są winne! — ponuro rzekł Żwardoń.

— Więc czasy są mocniejsze od nas?

— Tak.

— To kłamstwo, to jest potworne kłamstwo! Ja jestem i ja biorę odpowiedzialność za swoje życie. Ja tworzę czas, i taki jest on, jakim ja go stworzę.

— I stworzysz, przetworzysz to niemrawe robactwo, które snuje się naokoło?

— Przetworzę!

— Nauczysz cenić człowieka?

— Nauczę.

— Odnajdziesz sens w tym bezsensie?

— Odnajdę sens w tym bezsensie.

· Jakież to słowem, jakim czynem, jakim cudem?

— Rozżarzę swą duszę, jak gwiazdę, zabiorę słońcu cały jego żar, wykopię ogień z wnętrza ziemi, otworzę wulkany zastygłe!

— Cudotwórco!

— Myślisz zapewne, że ja o tobie nic nie wiem, ale ja znam twoją mękę. Przestałeś kochać i szanować siebie i za to winisz świat. Kto siebie uzna, kto siebie uszanuje, temu dopiero objawi się piękno życia!

— Proponujesz więc zgodę z tym światem dzisiejszym?

— Wcale nie. Proponuję tylko, ażebyś przestał dławić wiecznie te same myśli. Trzeba, żebyś zaczął czynić.

— Czyn! Takiego bałwana ulepiliście sobie na miejsce zwalonych kukieł.

— Tak jest. Módl się do tego bałwana, jak się doń modlą gwiazdy w swej niestrudzonej pracy; uznaj się za śpiewaka chóru wieczystego, śpiewającego ogromną pieśń tworzenia Nieznanemu!

— Dziwakul — znam ja te śpiewki. ale powiedz, co mam robić dzisiaj?

— Sam powinieneś wiedzieć.

— Takiś ty cudotwórco!

— Felku, i ty także to samo?

— No więc?

— Tak mówi każdy niewolnik, każdy tchórz, każdy filister. Kto szuka, musi znaleźć!

— Szukam już całe trzy lata.

— Szukaj jeszcze lat trzydzieści.

— Przypuśćmy. Ale po co?

— Dowiesz się wówczas.

— Czy starczy ochoty?

— Przykro to słyszeć od ciebie. Aż tak uległeś „czasom“?

Żwardoń milczał. Oczy jego blade były i jakby senne.

— Oddaj mi ją — pokaż do niej drogę...

— Nie znam tej drogi, Felku. Zapomnij o niej.

— Twoje rady, twoje pieśni, twój czyn — wszystko to głupstwo. Oddaj mi ją, a odnajdę życie.

— To kłamstwo, Felku. Gdybym potrafił, tobym ci ją rzucił w objęcia, a wtedy przekonałbyś się, że to kłamstwo. Zakończ z nią! Odetnij sobie rękę i zduś serce. Nie znam nikogo, kto by miał tyle odważnej mocy, co ty, i żał mi, że wiedziesz. Zapomnij o niej! Bądź, jak mnich, który płomień swego serca złożył na ołtarzu.

— Nie zdołam już.

— Więc weź ją siłą! Weź jak żołnierz na wojnie, jak pan niewolnicę. Przez kobietę masz zginąć?

— Jeżeli mi się sama nie da — nie chcę.

Trąbski wyrzał przez okno.

Ponad zieloną czapą kasztanu, wychylającego się z poza muru, płynął nasycony słońcem obłok. Jego brzegi niebiesko-różowe strzępami wisiorów jedwabnych wsiąkały w zielonkawy lazur nieba.

— Ten jeden obłok zawiera w sobie siłę odżywczą. Dlaczego Felek z niej nie czerpie? Z jakich źródeł piją tacy, jak on, tajemnicy nie czujący w obłoku, w twarzy młodej dziewczyny, w mistycznej powadze zmierzchu, w orgjastycznej świetności poranku? — Wylęgło ich miasto-piwnica i tylko świat zdobyty, niewolny pociesza ich.

Odwróciwszy się, poczuł na sobie ciężkie spojrzenie przyjaciela.

— Pacierz mówileś? — zapytał Żwardoń.

Trąbski się zarumienił.

— Znajdujesz szczególną przyjemność w cynicznym obnażaniu...

— Miałeś twarz młodziutkiego kleryka w białej komży.

— Słuchaj, Felku! Widziałem kiedyś foto grafię greckiej rzeźby, wyobrażającej grającego satyra. Uderza on w miedziane krążki i tańczy drobnymi krokami, Śmieje się, i radość wprost drga w jego ciele. Bawi się cały. Możnaby powiedzieć, że radość krąży w jego żyłach zamiast krwi — ta radość rzeczywiście boska.

— Nie widziałem i chyba już nie zobaczę. Pamiętam natomiast inne, mniej radosne obrazy

— Ale i ja przecież je pamiętam...

— Więc jestem inny, niż ty. Nie zmienisz mnie.

— Nie zmienię, ale pokazuję ciębie tobie. Ocknij się! — zobacz życie! Wyrwij z siebie patos gestu, wróć z pustyni, której nigdy deszcz nie zapładnia. Głębokie kłamstwo tkwi w urąganiach ludzi na życie dzisiejsze — jest to wyrzut sumienia. Bo przecież prawdą jest, że światem rządzi sprawiedliwość.

— Takie stanowisko prowadzi do żywota człowieka pocziwego.

— Mylisz się, taka wiara prowadzi tylko do pojmowania życia, jako sprawy poważnej, — do religijnego pojmowania życia.

— Stwórz religię!

— Przytłum na chwilę szwargot wężącej

myśli i wyteż słuch na słowa, które pełne są treści kojącej dla pragnących prawdy. Słowa te podają sobie wielkie duchy z pokolenia w pokolenie, a każde z nich treść ich wzbogaca męką i trudem kapłanów. Za naszych czasów Cyprjan Norwid oddał je Wyspiańskiemu, ten zaś wyjął je głosem niepełnym i wahającym się. Te słowa tajemne: Chrystus-Apollo, czyli słońce — praźródło życia i jego światło.

Zwardoń skrzywił się drwiąco:

— A gdzież jest noc i jej tajemnice? Zapomniałeś o upiorach sumienia, o samobójcach, o jękach mordowanych, o krzyku gwałconych kobiet, o rozpaczach górnik, zawałonego w szybie?..

— Tyś natomiast nie widział bojownika, umierającego z entuzjazmem, ani hulaszczkiej wesołości prostaka, ani twarzy człowieka, konającego w spokoju, ani kilofa górników z nocy ziemi wykopujących swą duszę na słońce! Nie zgłębiłeś znaczenia tortur średniowiecza, ani rzezi „wielkiego hutnika” Napoleona, ani sprawiedliwości trzydziestego pierwszego i sześćdziesiątego trzeciego roku, ani memento roku 1905!

— Jest to właściwie tylko stanowisko.

— Etykietka...

— Lubieżny uśmiech okrutnika.

— Słuchaj, Felku. Dalej się nie zapuszczajmy. Zaplątaliibyśmy się w scholastyczną dysputę. Musisz zatrzymać się na ironicznym stwierdzeniu: oto młodzieniec wierzący, który atoli żadnym argumentem nie uzasadnia...

— Ale czy tak twardo, niezłomnie wierzący?

— Gdyby słońce nie świeciło, nie byłoby również nocy.

— Jakież tu kryterjum?

— Moja wiedza.

— Jeśli rzetelna?

— Oczywiście!

Po twarzy Trąbskiego przemknął teraz gniew.

— Znam ja to źródło, z którego lęgnie się twoja niewiara. Ponieważ nęka cię nędza, więc nienawidzisz bogactwa, jak parwenjusz. Myślałem, że ty jednak unikniesz tej zarazy kłamstwa, która dzisiaj przerasta ludzkość, jak rdza miecz leżący bezczynnie. Trucizną poisz człowieka za jego nikczemność, gardzisz nim, Gdy ci powiedzą: Chrystus-Słońce, to usłużny mózg zaraz ci podszeptuje jęki niewinnych, chichot oprawców—człowieku o sercu czułem! Lecz skoro twoje serce przeraża jęk krzywdzonych, to dlaczego pozwalasz na krzywdę? Nie pozwól! Uczyn tak, żeby się krzywda nie działa. Nie pozwól! A przede wszystkim sam nie traktuj innych. Mierzi cię człowiek, że jest lichy i podły? — Przekształć go na bohatera! Przecież kiedyś szli ludzie tysiącami na mękil — przecież tysiące żołnierzy Napoleona w niewypowiedzianych trudach ścigały jego chimere! Czyż taka przemiana natury ludzkiej mogła się nagle dokonać? Żaden dowcip najbardziej wyrafinowanego histrjona France'a tej rzeczywistości podminować nie zdoła. Zawojuj ludzkie serca, obudź w nich ducha, a ujrzysz przemianę cudowną. Dlaczego tego nie czynisz?

Żwardoń słuchał w zamyśleniu, a na ostatnie słowa podniósł oczy zmęczone:

— A ty dlaczego nie czynisz?

— Ja czynię, ja czynię to od rana do wieczora. Zwiedziłem już wszystkie zaułki smutku, domacałem się korzeni pogardy dla świata, odkryłem gniazda ironji, znam kryjówki przesubtelnych bólów, które nas upajają. I ja tę chorobę prze-

byłem. Pierwszym moim odruchem było zawsze „nie“. Potem pełzałem naokoło każdej sprawy, jak wąż, aż wyszukawszy szparę, z sykiem rozkoszy wpuszczałem jad. Ale nareszcie pojąłem przecież, że to nie „świat żadnej wartości nie przedstawia“, ale że w takim razie ja jestem nicwart; nie ludzie są „podli“, ale ja jestem „podły“. I odmieniło się moje wejrzenie. Świadczę się tobie rzeczywistością mojej istoty, że poznałem wielkość człowieka i jego piękno. Odtąd razi mnie cherlactwo, pogarda, kpiarstwo i niebieskooka melancholja, — cała ta rodzinka skrofuliczna, zrodzona w rozpuście ducha.

— I mnie to mówisz? — w jakim celu?

— Bo czuję, jak się wikłasz i mącisz w myślach, i żal mi twojej duszy czystej i giętkiej, jak szpada. Dostrzegłem w tobie smutek, który zionie z nieprzewietrzanych piwnic duszy.

Trąbski przez moment namyślał się i ważył.

— Felku, skąd wzięłeś te pieniądze? — zapytał w końcu nieśmiało.

— Od pewnego burżuja.

— Pożyczyłeś?

— Wziąłem.

— Strzelałeś?

Żwardoń machnął lekceważąco ręką.

— Nie, nastraszyłem go.

— A wróciłeś przygnębiony?

— Otóż właśnie. Tego pojąć nie mogę.

— Pomyśl, Felku, pomyśl nad tem koniecznie!

Żwardoń zbladł.

— Słuchaj-no ty! Daj ty mi spokój ze swojemi przykazaniami!

W Żwardoniu gotowała się wściekłość. Trąbski wzrokiem uspokajał, jakby przepraszał przyjaciela.

— Wziąłem, bo chciałem — rzekł Żwardoń, dokładnie odrywając słowa. — Nie całuj mnie temi głupio-mądrymi oczami, spotniałem od dobroci, bo mnie to doprowadza do szału.

Tym razem ugodził. Trąbski zeszytniał i ochłódl.

— Głupi jesteś, Felku, jak żołdak. Jeżeliś w moich oczach wyczytał miłość, to ona jest we mnie, i nie wolno ci jej obrażać, jak nie wolno dziewczęcia w twarz uderzyć. Postąpiłeś wobec tego „burżuja“, jak pospolity zbir. Dzisiaj sprawa, komu wolno korzystać z wytworów cudzej pracy, przestała być łamigłówką spekulujących mózgów, a stała się sprawą sumienia. Pieńędzy wolno używać tylko temu, kto pracuje. Tego poczucia, że twoje życie teraz czy za lat tysiąc przyniesie komuś korzyść, nie posiadasz. Jesteś samotnikiem, mieszkającym na pustyni, więc musisz oprzeć życie na samym sobie — albo spadniesz do poziomu dzikich zwierząt, które, jak rekiny, szczerzą kły na pozłacany okręt uciekający wśród burzy. Wstąpiłeś na drogę nieuprawnionego wewnątrznie gwałtu, i jeżeli się nie cofniesz, sprawiedliwość dosięgnie cię w tobie, jak piętnuje trądem los wszystkich pasorzytów. Pobierasz chyba pensję jako beznogi weteran w braku oficjalnej kasy emerytalnej?..

— Zamilcz! — warknął Żwardoń.

— Nie lękam się! — odparł Trocki.

Zrozumieli obaj, że albo padnie słowo, po którym już niema powrotu, albo że jeden z nich ustąpić musi.

— Czemu mnie dręczysz? — ukorzył się wtedy Żwardoń.

— Felku, drogi mój — zaczął Trąbski. — Nie o to przecież idzie, ale zobaczyłem, że padasz, i chciałem cię podtrzymać. Czy cię to obraża? Rozwalmy kruche płoty próżności — wszakże ci jestem bratem. Może kiedyś ja ciebie wezwę na pomoc. Bądźmy sobie przyjaźni odważnie. Kocham cię — i trwoga mnie o ciebie przejmuje. Uczynię wszystko, co tylko potrafię uczynić. Zetrzesz z siebie rdzę i wyzdrowiejesz, staniesz się niezmierzony, będziesz bohaterem! Słuchaj! Mylisz się, głęboko mylisz się co do niej. Pozwól mi, a sprawię, że przyjdzie do ciebie, jak łania, i spojrzy miłośnicie swemi dobrymi oczami. Nie zżymaj się tylko — i milcz! Zrobię to i wyjadę, żebyście zapomnieli o mnie. Wyjadę do Włoch za te skradzione pieniądze, a ciebie zostawię w jej objęciach. Musisz poznać, że to ostatnie młodzieńcze złudzenie. Wówczas otrząśniesz się i powstaniesz, prawdziwie, jako mąż! Otworzą ci się bramy życia i zajaśnieje ci słońce. Pokochasz życie i wstąpisz w zaświaty z wieńcem stalowym na skroni, jako mąż!

Oczy Trąbskiego nabrzmiały łzami.

— Pozwól! Tęsknię do tej chwili, w której ujrzę człowieka na bastjonach zwycięstwa w ognistej glorii wesela i pogody. A ciebie mam za jednego z mężnych. Pozwól!

Gdy na dworcu wiedeńskim zatrzymał się pociąg, z wagonu wysiadła elegancko ubrana, piękna kobieta, niespokojnie rozglądając się w tłumie. Czarne, w środku przedzielone, faliste włosy zakrywały jej skronie, zwiężając czoło, które

jedną linią łączyło się z prostym, spokojnym nosem. Oczy łaskawe i niepewne płochliwym błękitem przeświecały z pod puchu grubych brwi, lśniących fioletową smugą na liljowej białości doskonale ukształconych policzków. Niby łodyga wątpa chryzantemy, gnącej się pod bogatym przepychem kwiatu, wywijała się z koronkowych obramień smukła, biała szyja. Nie tak już śliczne były ramiona nieco za wąskie i piersi szczupłe, nie tak już starannie wyrzeźbione biodra i nogi, jakby za słabe do dźwigania całego korpusu.

Nie znalazłszy osoby, której szukała, wolnym krokiem zbliżała się do wyjścia, gdy podbiegł do niej zgrabny blondyn o wesołych, bystrych oczach.

— Dzień dobry pani — witał się Trąbski. — Obawiałem się, że przyjadę zapóźno.

Pani Henryka spojrzała na niego z radością, pełną oddania i wstydlivej ufności. Trąbski z zachwytem przypominał sobie jej głowę.

— Pani Henryka niemoralna — zażartował.

— Tylko na jeden dzień — zarumieniła się, oświadczając się oczami.

— Choćby tylko na jedną godzinę i to nie wypada — z pewnością powiedziałyby mama. Zwłaszcza, że mieszkam z Felkiem.

— No, rzeczywiście, pana Feliksa wolałabym nie widzieć.

— Nie zobaczy go pani. Chociaż kobiety lubią, żeby je otaczali wielbiciele.

— Fe, jaki pan banalny!

— Pani jest romantyczna, lubi pani niezwykłość — zwolna wdrażał się w swoją rolę.

Po kilku minutach dorożka zatrzymała się przy ulicy Koszykowej.

— To już? — spytała pani Henryka.

— Tak, tu oto uwiliśmy sobie z Felkiem uroczę gniazdo—poetycznie prawil z tajemniczo-słodkim uśmiechem.—Proszę panią!

— A oto nasze mieszkanko samotne i kawalerskie, które nigdy jeszcze nie zaznało wonnego zapachu kobiecego ciała — ironizował po warszawsku, gdy się znaleźli w pokoju.

Pani Henryka wzdrygnęła się.

— Co to ma znaczyć, panie Zbigniewie?

Ale on nie słuchał.

— Ja rozbiłem namioty w tym pokoju i tutaj wykręcam z mózgownicy różne figlasy dla polechtania naskórka wielkomiejskiego motłochu. W tamtym pokoju zasię zdziera sobie obcasy mój Kastor.

— Panie Zbigniewie, ja pana proszę, niech pan ze mną rozmawia, jak człowiek, — jak u nas w lesie—mówiła żałośnie.

— Szanowna pani Henryko! Co innego wczoraj, a co innego dzisiaj; co innego zielone gaje, dzwoniące muzyką ptactwa, a co innego miasto, pełne kwiku prosięcia ludzkiego, charkotu nędzarzy, zdychających w suterenach, oraz kokot o zadartych kieckach i demonicznie żałobnych pोंczochach.

— Fel fel—co za obrzydliwość!—oganiała się rękami, powtarzając: dosyć, dosyć! i zatykając sobie uszy.

— Wcale nie dosyć. Przeciwnie, uważam, że należałoby koniec położyć temu sentymentalnemu flirtowi. Pani odznacza się prześliczną głową, a ja się szczycę nadmiernie rozwiniętym mózgiem. Wprawdzie swojego czasu przekonywałem panią, że powinna pani wziąć rozwód, i nawet udało mi się ją namówić do tego w imię ideału „czystego powietrza“, ale — tu skrzywił usta sarka-

stycznie — sięgaliśmy wówczas może po ideały zupełnie określonego gatunku.

Oczy pani Henryki rozszerzyły się bojaźliwie.

— Jakto, panie Zbigniewie? do czego pan właściwie zmierza?

Trąbski, podbiegłszy do niej operetkowym krokiem, ujął ją za rękę.

— Pani Henryko, po co dużo gadać! Ja panią kocham i proszę o rękę pani. Pani Henryko, czy zechciałabyś pani zostać moją żonką?

Przerażona, wysunęła rękę z jego dłoni. Przejęło ją uczucie odrazy i niesmaku.

— Moją żonką? — powtórzył głosem lubieżnym i zblazowanym, beczelnie wzierając w jej oczy.

— Odejdź pan odemnie! — rozkazała sucho.

Trąbski odstąpił i usiadł na łóżku. Pani Henryka zasłoniła sobie oczy chusteczką. Jemu opadła maska. Po twarzy i oczach prześlizgnął się cień żalu, lecz zaraz brwi się skurczyły, a na ustach zjawiał się jadowity uśmiech. Pani Henryka szlochała. On nasłuchiwał, a skoro po chwili zgrzytnął klucz u drzwi wejściowych, szybko podszedł do pani Henryki.

— Wiem przecież, że się pani we mnie podkochuje. Mam nadzieję, że wkrótce zdobędę prawo do tych schowanych pod jedwabną koszulką jabłuszek — mówiąc to, chwycił panią Henrykę za pierś.

Zerwała się i ręką, w której trzymała chusteczkę, uderzyła go w twarz.

— Podły, ohydny gad!

Trąbski, ledwo stojąc na nogach, blady, cofnął się pod okno.

Ona opadła opadła na krzesło.

Żwardoń, nie doczekawszy się zaproszenia wszedł.

Uklonił się pani Henryce, ale ona tego nawet nie zauważyła. Gwałtowne łkania szarpały jej głowę. Przerażona tem, co się stało, i zboleła, poczuła się kobietą samotną i bezradną. Myśl, że ją zawiódł człowiek, któremu bezgranicznie ufała, który spoglądał na nią oczami czystymi, „jak promień słoneczny na konwalijkę“, rozbiła złudne marzenia. Z fałszem raniącym serce pękła pieśń, zostawiając po sobie nikłe, schorzałe echo: tęsknotę. Dokąd pójść teraz? w którą stronę się obrócić? I znowu spazm płaczu nad zbezczeszczoną kobiecością, nad lodowatą próżnią bezprzytułku pośród świata obcego i strasznego, zakołysał jej głowę. Przewinęła się jako bezpieczna przystań osoba pogardzonego męża.

Żwardoń usiłował rozwikłać zagadkę. Od milczącej umowy z przyjacielem przetrwał w niecierpliwej gorączce i z trwogą czekał na godzinę, o której Trąbski kazał mu wrócić.

Co się tutaj stało? Groźnem, podejrzliwem spojrzeniem badał Trąbskiego, który opierał się o parapet okna. Na nieme zapytanie przyjaciela dobył z siebie uśmiech uspokajający, lecz zaraz potem nerwowo złamał ręce i z trudem włożył na twarz maskę, którą niebacznie był upuścił.

— Tak to z kobietami, Felku. Kuszą i mizdrzą się obiecująco, a potem, gdy mężczyzna dał się zwieść i żąda wypłaty weksłu, one w bekl...

— Kłamie! — podle, obrzydliwie kłamie! — zawołała, łkając, i podniosła się z krzesła.

Zrobiła kilka kroków ku drzwiom, ale nogi zaczęły się jej plątać, a przedmioty wirować w powietrzu. Omdlewając, padła w ramiona Żwardonia,

które uniosły ją w górę. Rozgorączkowane usta nachyliły się nad zwisającą przez ramię marmurowo białą, chłodną twarzą, lecz trwoga wstrzymała je w pół drogi. Zaniósł panią Henrykę do swego pokoju i złożył na otomanie. Porwał z łóżka poduszkę i podsunął ją pod nogi zemdlonej wyciągnął z zaciśniętych palców chusteczkę i, umoczywszy ją w wodzie, niezgrabnie rozcierał czoło. Powieki pani Henryki poruszyły się, wychyliły się na chwilę białka i z powrotem schowały pod rzęsy. Żwardoń wyjął szpilki i, zlekka podważywszy głowę, zdjął kapelusz, lecz rzucił go na podłogę, pobiegł do okna, otworzył butelkę z koniakiem i chlusnął nią na chusteczkę, którą znowu jął zwilżać czoło zemdlonej. Wreszcie pani Henryka otwarła oczy podsiniałe i wyczerpane.

— Gdzie ja jestem?—zapytała apatycznie.

— U mnie. Może się pani napije koniaku?

— Proszę—rzekła, ale, spostrzegłszy odsłonięte bućki, usiadła zawstydzona.

— Skąd ja się tutaj wzięłam? Za co oni pastwią się nademną? — skarżyła się niewiedząco komu.

Żwardoń wrócił do niej.

— Pani zemdląca, i ja położyłem panią tutaj.

Próbował uśmiechem pokryć wzruszenie, ale mu się to nie powiodło.

— Ja się pana boję!

— Niechaj się pani uspokoi, nikt tu pani nic złego nie robi.

— Nie wierzę panu, — ja nikomu, nikomu już nie wierzę.

— Rozumiem panią i poczuwam się do winy, ale od tamtych czasów tyle się zmieniło, tyle

przecierpiałem, że stałem się innym człowiekiem. Jedno tylko zostało, jedno się nie zmieniło, a życie moje zawisło od tego właśnie.

W surowym zazwyczaj i jasnym głosie Żwardonia brzmiało teraz błaganie i pokora.

To oddziaływało kojąco na panią Henrykę.

— Co się nie zmieniło?

— Lękam się...

Spojrzała na niego zdziwiona.

— Mnie się pan lęka?

— Tak, boję się pani. Nikogo na świecie oprócz pani się nie boję.

— Jakto? dlaczego?

Policzki Żwardonia okryły się barwą brązowo-ciemną.

— Proszę nie dopytywać, coś się bowiem stanie ze mną, gdyby pani raz na zawsze odeszła...

— Jaką pan ma twarz straszną!

— Niech pani tak nie mówi! Słabszy teraz jestem od muchy, której się przecież pani nie boi. Niech pani mojej twarzy nie wierzy!

— Opowiadano mi, że pan posiada odwagę, która się przed niczem nie cofa.

— Tylko przed panią.

— Dlaczego?

— Bo życie moje zależy od pani.

— Pańskie życie?

— Kocham panią... Trzy lata minęły, lecz nigdy prawie przez ten czas nie rozstawałem się z panią.

— To już dzisiaj drugie oświadczynyl

Wstała z otomany i sięgnęła po kapelusz, byle jak porządkując fryzurę.

— Niech mnie pan stąd puść! Ja nikomu już nie wierzę!

Zwardoń zrozumiał, że jej nie wstrzyma. Rozpacz żywiołowa przygniotła go, jak krzew marny, zmiażdżony przez wichr.

— Ulituj się! — szepnął i jak obłąkany obie-  
ma rękami objął swoją głowę.

Odwróciła się do niego i, widząc, że ten człowiek, który jej wtedy przemocą wyrwał pocałunek, słania się teraz wobec niej, jak walący się dębczak, zdumiała się. Oczy jej rozpromieniły się tklivością. Dotknęła jego ręki z dobrocią.

— Jakże mam ufać po tem, co pan uczynił kiedyś? Jak mam wierzyć po tem, co uczynił pański przyjaciel?

— Co uczynił?

— Tak brutalnie nie zachował się wobec mnie nawet mój były mąż.

W mózgu Zwardonia błysnął ratunek: wszystko powiedzieć. Lecz natychmiast zorjentował się, że wówczas skończyłoby się całkiem na pewno: ónaby tego nigdy im nie przebaczyła. Miotany rozpaczą, z męki odchodząc niemal od zmysłów, ukląkł i objął nogi pani Henryki.

— Nie wiem, czem on panią obraził, ale ja kocham. Gdy śmierć była o krok przedemną, ja nie o niej myślałem, lecz o pani, że cię już nigdy nie zobaczę. Pierwszy raz w mem życiu proszę o litość i nie czuję się upokorzony. Tego, co było w lesie, już nie wydrę z pamięci, ale cierpienie po stokroć przemazało tamten błąd. Czyżby pani miała serce takie zimne i okrutne? Tylko o jedno proszę: żebyś pani nie odchodziła na zawsze, tylko o taką łaskę, która do niczego nie zobowiązuje.

Pani Henryka wsparła ręce na jego głowie.

— Zostanę.

Żwardoń położył głowę na jej kolanach i przytrzymał jej dłonie, obawiając się, że je zabierze. Milczał, drżąc za każdym jej ruchem, że już się skończy szczęście oddychania tchnieniem jej ciała upragnionego. Pozwalała na to, przekonywując się, jak ptaszek głaskany, że mu się krzywda żadna nie dzieje. Przyciągana mocą jego oczu, oślepyłych ze szczęścia, zniżała swą głowę, ale już gdy doznał cieplej woni jej oddechu na swych ustach, wyprostowała się, odmawiając pocałunku.

— Proszę mnie uwolnić!

Odjął ręce i wstał.

— Bardzo jestem znużona, muszę się uspokoić i zebrać myśli. Może mnie pan odprowadzi?

Żwardoń towarzyszył pani Henryce aż do odjazdu pociągu.

Gdy późnym wieczorem wrócił do mieszkania, Trąbski leżał już w łóżku.

— To ty, Felku! — zawołał i szukał troskliwie w oczach przyjaciela odpowiedzi, a wyczytawszy ją, rzekł:

— Było to niewypowiedzianie straszne,

— Chory jesteś — zaniepokoił się Żwardoń gorącem, jakie buchało od głowy przyjaciela.

— Nic to! Za trzy dni stanę na Piazza Signoria i wyzdrowieję — mówił, ściskając rękę Żwardonia, i odwróciwszy się do ściany, dodał: — Jestem okropnie zmęczony.

### III.

Rodzina Karowskiego, mieszkająca w Warszawie, składała się z trzech osób oprócz Józia: tatuś, mama, Jadzia i Józio. Tatuś — mąż

czyzna wysoki, chudy, z łysiną, czarnemi wąsami i wesołemi oczami — posiadał kamienicę; mama — mała, krępa, o bladych, zaciętych wargach i rozsądnych, sprytnych oczkach jak u myszy — posiadała męża; Jadzia zaś — dziewczyna dwudziestoletnia, żywa, różowa warszawianeczka — była jeszcze inteligentna i posiadała temperamencik. Rodzice klócili się z sobą, jak dwoje legalnych małżonków, zwłaszcza, że pan Tadeusz zarażony gorączką warszawskich spekulantów, wdawał się w rozmaite przedsiębiorstwa i po szlachecku tracił prawie zawsze. Raz jeden udało mu się wprawdzie wygrać czterysta rubli na giełdzie, ale i to nie wyszło mu na dobre. Upojony bowiem powodzeniem, zaprosił przyjaciół na kolacyjkę, która wraz z partją winta, szampanem i damami z kabaretu kosztowała czterysta pięćdziesiąt rubli. Mama zmyła mu głowę, zagroziła rozwodem — słowem, zaimprovizowała takie piekło, jakiego już nie urządziła od pół roku.

Gdyby nie Józio, który w roku 1906 wpadł w złe towarzystwo, skutek czego dziesięć dni przesiedział w areszcie, co kosztowało rodziców dwieście rubli, a skłoniło ich do wysłania jedynaka co prędzej zagranicę, — możnaby powiedzieć o rodzinie Karowskich, że prowadziła się wzorowo. Ale Józio! Och ten Józio, który widocznie nie kocha swej mamy i swego tatusia, skoro wydaje tyle pieniędzy i jeszcze pokryjomu oskubuje stryja Stanisława! To też, gdy Józio przyjeżdżał do domu na lato, nie było końca żalom, wyrzutom, a nawet groźbom. Jedna tylko Jadzia brała stronę brata, zawierając z nim ligę samoobrony przeciwko „starym“. Ojciec wstępowałby chętnie do ligi wieczorami, ale z rana, gdy opuszczał małżeńską sypialnię, poglądy jego na rodzinną politykę zmie-

niały się do niepoznania. Zepsute dzieciaki domyślały się przyczyny, jednak pamięć na czwarte przykanie pozwalała im tylko sygnalizować sobie o tem telegraficznie, pod stołem. Łałwo sobie przeto wyobrazić, jakie męki znosił Józio w domu przez dwa miesiące letniego odpoczynku, i dziwić się nie należy, że, słysząc bek lokomotywy od strony dworca wiedeńskiego, doznawał uczucia nieutulonej tęsknoty. W końcu przecież nastawał smutny dzień wyjazdu, i Józio żwawo wskakiwał na stopnie wagonu, żegnany niezliczonymi „a pamiętaj, Józiu!” mamy — i z urzędu srogimi przestrogi ojca. Czasem nawet stryj Stanisław pofatygował się na dworzec, ale, zapewne jako stary kawaler, napominał bratanka: „tylko nie puszczaj się zanadto, łobuzie!”

Państwo Karowscy, szczególnie zaś mama nie zapominali jednak o obowiązkach rodzicielskich, od których Bóg niezwołniłby ich przecież, gdyby syn studjował nietylko w Zurychu ale nawet w Madrycie — lub chociażby w Aleksandrii; przeto rozciągnęli nad nim tajną opiekę. O każdym ważniejszym wydarzeniu z życia syna wiedzieli.

Temi właśnie drogami doszła ich wiadomość o istnieniu panny Sary Rosenzweig. Zrazu wieści mgliste, chociaż już złowrogie, w końcu piorun: „zakochał się”, „włóczy się z nią ciągle”. Ta niespodzianka zalterowała nawet stryja Stanisława. Po zebraniu szczegółowych danych ustalono, że Józio zakochał się w Żydówce. Ale — rzecz dziwna — mama, nie rozpoczynała jeszcze biadać i nadaremnie wzywać imienia boskiego. Po całych dniach dreptała zamyślona, a po nocach wiodła długie rozprawy z mężem. Wynikiem tych narad były badania na miejscu, z których się okazało,

że rodzice Sary Rosenzweig mieszkają przy ulicy Dzikiej w dwóch pokojach, z pięciorgiem dzieci, i że ojciec nie ma żadnego określonego zajęcia ani żadnych określonych dochodów. Jest może faktorem, może handełsem, w każdym razie nie ma nawet dwustu tysięcy rubli, z których bodaj sto przypadłoby na córkę. Z czego zaś utrzymuje się zagranicą Sara Rozenzweig również niewiadomo. Strach padł na rodzinę Karowskich. Ale zbliżało się lato, a zatem powrót Józia. Karowscy kryli całą hańbę w tajemnicy nawet przed Jadzią. Nie zdradzili się również przed synem.

Tymczasem, jak drugi w tym roku piorun, runęła na nich depesza od Józia, że zachorował na płuca, a w kilka dni potem nadszedł list, datowany z Beatenbergu, w którym Józio donosi, że lekarze nakazali mu całe lato spędzić w tej miejscowości, jeżeli nie chce zapaść na „suchoty“. Zaś w kilka dni potem ryknął trzeci w tym roku piorun; rodzina Karowskich, herbu złota ostroga, otrzymała całkiem pewne doniesienia, że w tym samym pensjonacie w Beatenbergu zainstalowała się panna Sara Rosenzweig. „Podła Żydówka uwiodła mi syna“—zapłakała matka i lzy wściekłości potokiem trysnęły na falujący biust. W pierwszej chwili postanowili Karowscy przeciąć wrzód jednym cięciem, odbierając uwiedzionemu miesięczną pensję, ale sprzeciwił się temu stryj Stanisław. Jako adwokat, jako stary kawaler, jako stryj, kochający bratanka, domniemanego spadkobiercę dwudziestu pięciu tysięcy, miał on w sprawach rodziny głos poważny. Otóż stryj Stanisław uśmiechnął się dyplomatycznie i rzekł: „Jeżeli chcecie na jesień mieć Józefa w domu i to bez żony i bez bachora, oddajcie całą sprawę w moje ręce. W napoleońskim kodeksie istnieje pewien paragraf, na który złapię

chłopaka". Powiedział to z takim przekonaniem, że po krótkich wahaniach rodzice odstąpili mu na pewien czas opiekę nad synem.

Stryj Stanisław polecił przedewszystkiem, ażeby Józia zostawiono w spokoju i nie pozbawiano pieniędzy. Nie powinien się nawet domyślać, że w domu wiedzą o jego grzechach. Sam również przesłał bratankowi dwieście rubli na „lekarstwa” i dopytywał o zdrowie.

Wobec tego, Józio bawił się doskonale przez całe lato, wyśmiewając na dobitkę „starych” i stryjka. W połowie września powrócił z koleżanką Sarą z Beatenbergu do Zurychu i przysiągł sobie, że się już teraz z całą energją zabierze do pracy. Lecz urzeczywistnieniu tych zamiarów stanęły na zawadzie dwie nieprzewidziane okoliczności: Sara zaszła w ciążę, a równocześnie prawie donosił stryj, że rodzice, dowiedziawszy się o różnych sprawkach syna (jakich — nie pisał), nie chcą mu nadal posyłać pieniędzy; uprzedza go o tem i radzi wracać. Wnet przyszedł istotnie list od rodziców, którzy bez żadnego wstępu oświadczają: „pieniędzy więcej dostaniesz; wracaj natychmiast!”

Zgnębiony Karowski pokazał listy Sarze, ale ona, przeczytawszy je, odsłoniła bluzkę, nęcąc: całuj!

— Wszystko to piękne — myślał Karowski, wypełniwszy żądanie Sary — ale co począć? — pytał kochankę roztargnionym wzrokiem.

— Ha! — idź i powieś się! — roześmiała się.

— Nie lubię takich żartów — odburknął.

— No to wracaj do tatusia.

— A ty co zrobisz wtedy?

— Drogi Józiu! — mizdrzyła się do niego złośliwie — ja zrobię, co mi się spodoba.

— I ja chyba mam tutaj coś do gadania! — obruszył się Karowski.

— Ani tycio! — odparła Sara: — Wynoś się, bo mnie irytujesz.

W ten sposób odpowiadała mu stale. Ale gdy oznaki ciąży zaczęły jej zbyt dokuczać, oznajmiła, że nie pragnie dziecka i, że Karowski musi jej skądkolwiek pożyczyć dwieście franków na poronienie.

— Chyba, że się ze mną ożenisz?

— Naturalnie, kiedy tylko zechcesz.

Sara przyskoczyła do niego, świecąc oczami, jak kot.

— Daj rękę! Słuchaj, jeżeli zechcę, to się ze mną ożenisz! Zapamiętaj to sobie, Karosiu!

— Jak możesz wogóle co do tego wymagać przyrzeczeń?!

— No, pamiętaj! — żebyś się później nie zaparł.

— Saro!

Karowski coraz częściej myślał o Sarze niechętnie. W ogniu jej pieśszcót zapominał o wszystkim, ale za to później refleksje napastowały go tem natarczywiej. Zaczął nawet w jej ciele dostrzegać wady, a jej pieśszcoty wydawały mu się rozpustne. Budził się w nim zdrowy instynkt dojrzałego mężczyzny, — co prawda, głównie poza obrębem jej łóżka. Wtedy nawet przeciwstawiał jej inne kobiety, i porównanie wypadało zawsze na niekorzyść Sary. Raz czy dwa razy pozwolił sobie na podobne uwagi, ale Sara wzięła go po prostu za kark i wypchnęła za drzwi.

Tego było jednak za dużo Józefowi Karowskiemu. Zmartwiony i zdenerwowany, wrócił do siebie, myśląc, że przecież znajdzie listy z domu. Listu jednak nie było. Warszawa milczała, jak

martwa. Przewrót ogarnął Karowskiego na myśl, że rodzice naprawdę przestaną go utrzymywać. Straszna była to noc! Konieczność powrotu walczyła z wyrzutami sumienia. Gdyby wyjechał, to tylko na krótko. Zresztą przyrzekł jej, że się ożeni, a wreszcie musi jej raz pokazać! Skąd on tutaj weźmie te dwieście franków? Musi wracać! Przekona rodzinę. Gdyby mu postawili warunki, to trudno. Rządzić sobą nie da! Nie jest już sztubakiem, dzięki Bogu! Trzeba raz przewrócić sterty klasowych przesądów. On ją kocha — i koniec! Powie im tak: albo przyjmiecie mnie, jako wolnego człowieka, albo rzucam wasze progi i proch otrzepuję. Nie dacie pieniędzy — pluję! Nie skończę studjów — pluję! Wypędzicie mnie z domu — pluję! Wyzwolę się z waszego burżuazyjnego bagna — i pluję na cały świat! Ho! ho! Nie pierwszy ja i nie ostatni. Rozpadną się wasze gniazda, a my zatryumfujemy — my, mściciele krzywdzonych! — Tak im powie — niech sobie myślą, co chcą!

Następnego dnia pożegnał się z Sarą i wyjechał. Rodzina przyjęła go w sposób rozczulający. Józia świeżbił poprostu plugawy język; lecz rodzice byli dobrzy, dopytywali go tylko o zdrowie, słówkiem nawet nie wspominając o „sprawkach”. Gdzież tu można było plunąć? Wobec tego tymczasem połykał ślinę na zapas i rozkoszował się specjałami polskiej kuchni. A była znakomita po szwajcarskich wasserzupkach. Właczorem zjawił się stryj Stanisław, człowiek przygarbiony, o wyblakłych oczach, pewny siebie, jak przystało na szczęśliwca opierającego się na twardym zrubie kodeksów, bez apelacji rozróżniających czarne barony od baronów białych. — „Jak się masz, łobuzie!” — przywitał

Józia, pokręcił go za ucho — i tyle. Znowu pogawędka — a o „sprawkach” ani mru-mru! I tak minęło dni kilka. Tylko Jadzia częściej telegrafowała, a pewnego dnia złapała brata w kącik i szepnęła: „nic się nie bój — ja z tobą!” Józio doznawał już nawet pewnej przyjemności, że to tak jakoś utonęło. Chwilami przypuszczał, że rodzina może w istocie nie wie o tych „sprawkach” — tych najważniejszych. Utwierdzał go w tem przypuszczeniu взгляд, że nikt nie sprzeciwiał się jego planem powrotu do Zurychu. Pani Karowska, obdarzając syna spojrzeniem macierzyńskiej miłości, mówiła wtedy co najwyżej: „szkoda, że Józio mało pracował” — i na tem koniec. Jedna tylko strona życia rodzinnego niemile drażniła ucho, a raczej głębokie przekonania Józia. Bardzo często rozmowa schodziła na Żydów, którym się dostawało prawdziwie „po ruski”. Józio oponował niekiedy, ale bronił swych poglądów bez nadziei zwycięstwa, gdyż właściwie nie prowadzono tu formalnej dyskusji, tylko wypowiadano poglądy, wessane w duszę — jak się to mówi — z mlekiem matki. Są one niewzruszone, jak skała, i zapewniają przeciwnikowi taką wyższość stanowiska, że jego słowa zdolne są swoją apodyktycznością zachwiać nawet najtęższe konstrukcje logiczne. W tem tkwi ich moc kamienna, że są wbrew rozumowi. Złoszczą ale są i będą. Ile razy więc Józio zaoponował, tylekroć jego argument spotykał się z dobrotliwym półuśmiechem mamy albo z jadowitym sarkazmem stryja. Ojca i Jadzię sprawy te nie obchodziły; stanowili oni chór, zawsze popierający śmiechem partję zwycięską. A że przysłowie powiada: „Kto wlaź między wrony, musi krakać jak i one”, więc głębokie przekonania Józia jeły się chwiać u samych korzeni.

I tak płynęły sobie dni za dniami wolniuteńko i zbożnie, jak wiślana woda.

Atoli pewnego wieczoru, gdy Józio po kolacji odprowadzał stryja do domu, wywiązała się między nimi ożywiona rozmowa, bowiem złośliwy kauzyperda ni stąd ni zowąd zagadnął bratan-ka takimi słowy:

— Jakże ta Żydóweczka?

— Jaka Żydóweczka?—zachnął się Józio.

— Nie udawaj, łobuzie—ta Surkie.

— Stryju!—jęknął Józio.

— No ta panna Sara Stinckenluft czy Rosenduft z Dżykegasse.

Józio zachwiał się, jak nieusmażony jeszcze ozór.

Stryj przymrużył oczy.

— Zachowała jeszcze anielski negatywizm żywota, czy już przystąpiła do pozytywnej twórczości?

Józio milczał, jak zatwardziały konspirator.

— Chyba, że ją już „wzdono“ na szlacheckiej koniczynie. Nie zrobisz nam zapewne wstydu i obdarzysz rodzinę Karowskich tęgim chłopakiem. Noblesse oblige! No dobranoc ci, łobuzie.

Z ojcowską czułością wziął Józia w ramiona i ucałował go w oba policzki.

— Dobranoc, chłopczel — A możebyś tak przeszedł się po syrenim grodzie? Pewnie nie masz pieniędzy? Idź, zabaw się trochę.

Wyjął dwadzieścia pięć rubli, wetknął w rękę Karowskiemu i zniknął w bramie.

Karowski sterczał przez jakiś czas nieruchomo, jak słup latarni; potem machnął laską, aż zafurczała. i chwackim krokiem puścił się z powrotem. Nie udał się jednak do domu. Łono rodzinne wydało mu się dzisiaj znacznie mniej po-

netne, niż łono eleganckiej Elzy. Z tą przepędził noc, z nią witał słońce, a wypiwszy ostatnią „czarną“ z koniakiem, pożegnał smagłą Węgierkę i pełen fantazji pijackiej poszedł do domu i usnął.

Ocknąwszy się, dzierzył w dłoni czyjaś rękę, a nad sobą ujrzał dwoje złych oczu. Zdziwiło go to nieco, jako że dotyk ręki i wyraz oczu osoby, widzianej we śnie, były zgoła inne.

— Józio, co to ma znaczyć? — pytała okrutnym szeptem matka, wścibiając synowi pod nos jakąś białą kartę. Był to list. Józio czytał:

„Karosiul! Trzeci tydzień czekam na pieniądze. Jeżeli nie życzysz sobie potomka, przysyłaj monetę, której — jak sam wiesz najlepiej — nie mam. Jeżeli nie przyślesz zaraz, przyjadę do Warszawy, zanim jeszcze zdołasz uprzedzić rodziców o swym wyborze. Nudno mi po nocach bez ciebie. Twoja Sara“.

— Skąd mama wzięła ten list? — zapytał wściekłym głosem.

— Nie zapominaj, że mówisz z matką. List przyniósł, jak zwykle, listonosz.

— Ale adresowany był chyba nie do mamy?

— Jestem przed Bogiem odpowiedzialna za ciebie, mój synu.

— Niech mama nie plecie bzdurstw. Bóg kazał mamie dobierać się do cudzych listów?

— Józefie, powtarzam ci, żebyś się nie zapominał. — Co to za Sara i co to wszystko ma znaczyć? Odpowiadaj natychmiast!

— Niech mi mama da spokój, bo — jak mamę kocham — plunę na wszystko i konieci!

— Jezus Marja! — nie bluźnij bo cię Pan Bóg skarze — skrzeczała pani Karowska, wygrazając ręką, w której ścisnęła kopertę. — Gadaaj

mi tu w tej chwili, gałganie jeden, jak mam ten list rozumieć?

Józio wyskoczył z pod kołdry i, biały jak marmur, stanął naprzeciwko rozłoszczonej matki.

— Jeżeli mama nie wyniesie się z mego pokoju natychmiast, to albo wyskoczę przez okno, albo wam tu wszystko podruzgocę na drobne kawałeczki — słyszy mama? na drobniotenieczkie kawałeczki!

Pani Karowska cofnęła się, nie poznając w tym rozczochrany wyrodku swego Józia, i, dygocąc z oburzenia, drobnymi kroczkami podreptała z pokoju. Józio zamknął za nią drzwi na klucz, zwałił się na łóżko i, sapiąc, okutał się w kołdrę od stóp aż do czuba głowy. Był tak rozdrażniony, że trudno przychodziło mu okiełznać swoje afekty. Strumień zdarzeń, który go porwał od wczorajszej wieczornej pogawędki ze stryjem, skruszył kajdany woli. I tem chyba tylko można sobie było wytłumaczyć dwa wyrazy, które mu się same niejako wyrwały z ust: „rozpustna Żydówka!“ Ale i ten okrzyk nie uśmierzył jego wzburzenia. Zerwawszy się z łóżka, kroczył ku ogromnej, wiszącej, w zawile arabeski pociętej lampie. Już paść miał cios morderczy, gdy myśl, błyskawicznie przesunawszy przed rozsądkiem Karowskiego poważną kwotę pieniędzy, jaką ten sprzęt kosztował, uratowała lampie życie. Zawrócił do łóżka i z taką pasją kopnął pantofel, wyszywany ręką Jadzi, że niewinny cichostęp zarył nosem w kupkę kurzu, ukrytą aż pod szafą. Czego dokonał, po raz drugi spoczął Karowski na łóżku i teraz nie wstał już, aż na obiad.

Przez cały dzień chodził, jak struty. Jadł, nie patrząc na innych, i nie odpowiadał nawet na lękliwe depesze Jadzi. Matka była obrażona.

a ojciec chłodny. Wieczorem nadszedł stryj, lecz Józio nie opuścił swego pokoju. Około dziesiątej Jadzia zapukała do brata, oznajmiając, że stryj życzy sobie, aby go bratanek odprowadził. Józio burknął na siostrę i nie ruszył się. Wtedy zjawił się stryj Stanisław we własnej osobie i zabrzęczał swoim bezbarwnym głosem, przegryzając słowa wargami: „chodź-no, chodź, łobuzie”. Józio machnął niechętnie łokciem, ale pieszczotliwy przydomek, jakim go zawsze stryj obdarzał, i stanowczy a ironiczny dźwięk jego głosu skłoniły Józia do zastanowienia. — Bądź co bądź jego los zależy od stryja. Zacząć z nim? — za ryzykowne. Plunąć na niego? — jakoś nie wypada. Po krótkim wahaniu chwycił za kapelusz i z rezygnacją udał się za stryjem, który go zresztą o nic nie pytał.

Szli wolno w milczeniu, niby dwaj filozofowie, pogrążeni w zadumę. Józio gestykulował zuchowato, kroczył i patrzył, jak filozof całkiem niezależny, ale za każdym spojrzeniem starszego filozofa,—miękkła mu, jak to się mówi—rura. Stryj poważnym, powłóczystym krokiem zaprowadził Józia do siebie, posadził go na fotelu przy biurku, sam usiadł naprzeciwko, napełnił dwie lampki doskonałem winem i w milczeniu, paląc papierosa, wyczekiwał. Delikwent władał jednak dzisiaj tą bronią z taką samą zręcznością. Nareszcie po jakimś kwadransie rzekł stryj Stanisław:

— Niech i tak będzie—słuchaj uważnie! Nasze warunki są następujące: primo, Sure soll fuhre — conditio sine qua non, basta i kropka. Skoro to się stanie — dwieście fałatów gotiu, posada, którą ja ci wyszukałem, pensja 75 rubli na początek. — Stryj przerwał na chwilę. — Nakoniec — tu uroczyście podniósł do góry palec — bardzo śliczna niespodzianka.

— Jaka niespodzianka? — mruknął przez zęby Józio.

— Niespodzianka, jak piękna Helena, z tą różnicą, że nie goła, jak posąg grecki, ale w złotej koszuli. Na to jednak trzeba będzie popracować.

— Ależ stryju, moje przekonanie sprzeczne z przekonaniem...

— Daj spokój, łobuzie, proszę cię — przeciął stryj. — Tylko bez migdałków takiej sorty! Warunki wyraźne: Sure won, dwieście ru, posada i cud niespodzianka wartości pięćdziesięciu tysięcy rubli. — Wymawiając ostatnie słowa, pocałował wierzch dwóch palców prawej ręki. — Trzy dni do namysłu i dwadzieścia rubeljansów w łapę!

Józio poczuł, że obroża około szyi zaciska się. Krótkie słowa rodzinnej komendy oddziaływały nań, jak wyrok na skazańca: sprawa nieodwołalnie zakończona. I rzecz szczególna: młody Karowski doznał w tej chwili takiej ulgi, jakiej w czasach starożytnych doznał zapewne Poncki Piłat, umywając ręce! Twarz Józia mówiła: nie chcecie? — nie? — to nie! — ja chciałem dobrze, ale — nec Hercules contra plures.

Nocy tej nie spędził już Karowski tak rozkosznie, jak poprzednią. Między jednym uściskiem Elzy a następnym dokuczała mu natrętnie tajemnicza niespodzianka z pięćdziesięcioma tysiącami rubli. — Kobieta! — z pewnością. Ale kto? — czy ładna? Stary piernik powiedział, że śliczna, a na tem to się już zna, ten bezzębny wyjadacz.

W domu przyparł do muru Jadzię. Zapytał ją wprost, czy nie wie, kto może być: piękna panna z pięćdziesięcioma tysiącami posagu?

Jadzia zarumieniła się po uszy i nadąsała: — Skąd ja mam wiedzieć o takich pannach?

— A dlaczego się zarumieniłaś?

— Nie wmawiaj mi, proszę ciebie. Zresztą mam więcej „hemoglobiny” niż ty — dodała uroczyście uczona panienka.

— Czego masz więcej?

— „Hemoglobiny”, a to dlatego, że prowadzę życie moralne i nie puszczam się po nocach, jak ty. Pewnie odwiedzasz jaką kokotę — wyraz ten wymówiła z taką samą powagą, jak hemoglobinę — i z tego jesteś żółty, jak cytryna, Zgroza! Ale wszyscy tacy — wy, mężczyźni, a potem unieszczęśliwiacie biedne kobiety.

Józio trząśł się ze śmiechu.

— Pierwszy raz widzę, moja hemoglobino, że jesteś kubek w kubek podobna do starej. Ale żart na stronę. Jadziuchna, kto jest ta panna?

— To nie żadna panna, ty rozpustniku, to jest kobieta poważna, która zresztą nie wyjdzie za ciebie, słyszysz! — przysięgam ci, że nie wyjdzie! — i z gniewem wyleciała z pokoju brata.

— Kto to może być i z jakiego powodu ciśka się ta smerda? — rozmyślał Karowski. — Ach mam! Pani Henryka Narzecka, przyjaciółka Jadzi. Nie może być kto inny! Piękna i ma pieniądze — ale rozwódka... Cóż robić!...

Przez cały dzień rozważał i liczył. Coraz wyraźniej zdawał sobie sprawę z tego, że na rodzinę płuć nie wolno. Na Sarę był oburzony za list i za wszystko wogóle. Zresztą sama mu się oddała. Małżeństwo? — żarty studenckie. Wyobraził sobie, że idzie Alejami pod rękę z Sarą, jako żoną, i na samą myśl o tem zapadał się ze wstydu pod ziemię. Sara Rosenzweig z Dzykegasse — jak mówi stryj. Pani Henryka! — śliczności kobieta, a przytem bogata. Z nią można się pokazać wszędzie, nawet w najwybredniejszym towarzystwie.

Jednakże skrobało go coś w sercu. Migdałki? — jak powiada stryj. Stryj zawsze przesadza. Zresztą ja nie wyrzekam się wcale swoich poglądów. Jest to moje życie prywatne, święte, jak tajemnica listowa w państwach konstytucyjnych. Ale od zasad nie odstępuję ani na krok.

Dość, że z pewną niecierpliwością czekał na stryja.

— Kochany stryju — zaczął, gdy wyszli od rodziców.

— Cóż, kochany bratanku?

— Tylko proszę o szczerłość — zażądał uroczyście Józio. — Chcę grać w otwarte karty i serjo pragnę pogodzić się z rodziną.

— Doskonale.

— Kto jest tą śliczną niespodzianką?

— Jakiś mi gorący! Bądź pewien, że odpowiedniejsza na żonę, niż panna Sara.

— Pani Henryka Narzecka?

Zdumiał się stryj.

— Józiu! — wrodziłeś się we mnie, co ci wyjdzie na zdrowie, bo twój ojciec jest lekkomyślny. Zgadłeś! Pamiętaj tylko, łobuzie jeden, że w tej materji wypada sobie poczynać ostrożnie i delikatnie, żeby sprawy nie pokpić. Prowadziłem proces rozwodowy pani Henryki i znam jej charakter, jak nikt.

W ciągu szczegółowej rozmowy Józio ostrzegł stryja przed intrygami Jadzi, która, niewiadomo z jakiego powodu, jest zdecydowanym wrogiem tego projektu. Stryj wyjaśnił bratankowi, że idzie tu o pewną, bardzo zresztą niewinną odmianę lesbijskiej miłości. Jadzia znajduje się jeszcze w tym okresie rozwoju, że czuje odrazę do miłości męskiej, natomiast uwielbia kobiety i kocha się w nich, jak pensjonarka w młodszych nauczy-

cielach. Z Jadzią będzie sobie można jakoś poradzić; główna rzecz, żeby przed czasem nie wypała czegoś pani Henryce. Reszta należy do Józia.

W kilka dni potem Karowski z matką i stryjem złożyli wizytę pani Henryce. Józio przypominał się pamięci pięknej rozwódki i przez cały czas krótkiej wizyty usiłował zaprezentować się jej ze strony najbardziej zajmującej. Czynił wogóle wszystko, co w takiej imprezie zwykli czynić kawalerowie, aby oczarować przedmiot pożądania. Przedmiot pożądania nie przeczuwał jednak na razie celu wizyty Karowskich. Pani Henryka była zmęczona i zdenerwowana, a gdy Józio na odchodem zapytał, czy mu pozwoli bywać częściej, odpowiedziała: „ależ naturalnie, niech pan bierze Jadzię i przychodźcie, kiedy wam się tylko podoba; będzie mi bardzo przyjemnie“.

Karowski był zachwycony i sobą, i panią Henryką. Ponieważ według swego mniemania zachował się jak elegancki i wytworny młodzieniec, nie mógłby był sobie pomyśleć, że pani Henryka jest innego zdania, a jeszcze mniej, że nie poświęciła mu ani szczypty uwagi. Wyobrazić sobie tego nie potrafiłby, bo jeżeli on sam myślał o sobie, to inni także o nim z pewnością myśleli. On natomiast zastanawiał się nad panią Henryką—i to gorliwie. Czy to był już początek miłości — rzecz sporna. W każdym razie od chwili rozmowy ze stryjem przestała pani Henryka być dla Józia obcą istotą. Cała praca myśli dokonywała się w nim teraz około tej kobiety: w niej ogniskowały się wszelkie interesy życiowe młodzieńca, jego przyszłość, szczęście, jego karjera. Widział, ile od tego związku będzie zależało, zaczął go tedy pragnąć— a więc pragnąć pani Henryki, czyli, że pani Henryka stała się osobą dla niego pożądaną, a więc,

jak to się mówi, ukochaną. Albowiem nie kochać czegoś, czego się pragnie, nie można. Więc Józio zakochał się w pani Henryce. Lecz kochać się w dwu osobach nie sposób — tak przynajmniej powiadają. Z tego powodu jego miłość dla Sary topniała z godziny na godzinę. Pani Henryka — i Sara! Sara Rosenzweig — i Henryka z Korsaków Narzecka! Studentka Sara Rosenzweig z Dzykegasse — jak mówi stryj — i Henryka z Korsaków Narzecka, dawniej pani na na Niezgonce.

Która namiętność miałała zwyciężyć w Józie Karowskim, herbu złota ostroga?

Odebrawszy od stryja dwieście rubli, postanowił Józio co prędzej wysłać pieniądze Sarze. Lecz ile? — i w jakiej formie? Co do niej napisać? — Zerwać odrazu? — Niel — W Zurychu żądała 200 franków; 200 franków — czyni 80 rb. Może więc posłać już okrągłe 100 rb.? 100 rubli to czyni zwei hundert fünf und sechzig Francs! Przypomniał mu się Żwardoń: a to go nabrał, cwaniak! — 100 rb. — to na Zurych ogromna suma! Ile to człowiek miał za 100 rb. w tamtych czasach! — Niewiedomo, dlaczego wstyd ogarnął Józia. Pobiegnął na pocztę i telegraficznie wysłał nie 100, ale 120 rb.

Potem wstąpił do kawiarni i napisał: „Kochana Saro! Postąpiłaś sobie bardzo brzydko, a nawet — powiem — głupio i nieostrożnie. Twój list otworzono i przeczytano. Popsułaś mi szyki tak dalece, że nie wiem, w jaki sposób mam wybrnąć z tylu kłopotów. A może nawet wcale nie wybrnę... Kiedy wrócę do Zurychu, nie wiem. Może już wcale nie będę mógł wrócić. Nie zapominaj, że i ty masz obowiązki względem mnie, a nie tylko ja względem ciebie, o czym się już przekonałaś z depeszy (120 rb.), którą musiałaś

już odebrać. Bądź rozsądna i ostrożna na przyszłość, J. K.”.

Długo się namyślał, czyby nie dopisać czegoś, z czegooby wywnioskowała, że musi z nią zerwać, ale zostawił sobie to do dalszej korespondencji.

W tydzień potem matka obudziła Józia, oddając mu list, który brzmiał krótko: „Pieniądze odsyłam Jesteś pospolitym draniem. Twoja Sara”.

Matka pocieszała syna współczującym uśmiechem.

— Cóż jej odpowiesz?

— Nie dam sobą dalej pomiatać, niech mama tego będzie pewna.

— Takiej Żydówie — dodała mama.

— Tylko, żeby ona nie urządziła jakiej awantury.

— Nie martw się, synku. Już my to jakoś wspólnie załatwimy.

— Ależ ja do niej nie napisałem nic takiego...

— Mój drogi! — kobiety są wogóle sprytne, a już w sprawach miłosnych czują z końca świata. Cóż dopiero taka panna Sara. Jak mogłeś, Józiu, dać się złapać takiej...

— Niech mama nie piłujel

— Nie gniewaj się, kochaneczku — rzekła pani Karowska, całując syna z czułością. Może sobie jeszcze poleżysz? Przyślę ci kawę do łóżka.

— Dziękuję mamie, niech się mama nie trudi, Już wstaję.

Po śniadaniu zadepeszował do Sary. „List pani uważam za zerwanie. Karowski”.

Odpowiedzi nie otrzymał.

## IV

Gdy pani Henryka Narzecka wróciła na stałe do Warszawy, Żwardoń odwiedzał ją bardzo często, zazwyczaj wieczorami. Siadał cicho gdzieś w kącie saloniku i słuchał muzyki albo rozmawiał. Zdobywał zaufanie pani Henryki z wolna, wytrwale, piędź po piędzi. Stało się bowiem tak, że podstęp Trąbskiego, umożliwiając porozumienie między Żwardoniem a panią Henryką, obudził jednak w niej czujność i drażliwość wprost chorobliwą. W obecności Żwardonia zdawało się jej, że właściwie nic się nie zmieniło; zginął tylko ktoś bardzo bliski, po kim otwarła się w duszy luka niezapełniona—ale świat zachował barwy te same, co dawniej. Lecz, gdy Żwardoń odchodził, złudzenie pryskało. Pani Henryka czuła się samotną. Zewsząd czyhały na nią niebezpieczeństwa. W oczach każdego człowieka dopatrywała się chytrłości, podejrzewała wszystkich, jak złodziei, studujących teren przyszłej kradzieży. Ciężkie były zwłaszcza noce bezsenne, spędzane sam na sam z myślami smutnymi, jak cmentarz w listopadzie.

Uspokojenie, jakie Żwardoń wносił swoją osobistością skupioną i mocną, na strzępy darła noc, rojąca się od półsennych przywidzeń i beznadziejnych rozmyślań. Następnego dnia dowiadywał się Żwardoń z wylękłych oczu pani Henryki, że tę piędź ziemi, którą zdobył wczoraj, rozniosły mu nocne wichry. I rozpoczynał pracę odnowa. Leczył chorobą przedewszystkiem swoją obecnością. Jego męska odwaga i siła, zdradzająca się w kanciastych zarysach twarzy, jego ruchy wyraziste, ale dyskretne, brzmienie głosu klarowne, lecz ostre—wszystkie te cechy, które mogły prze-

razić w obcym, oddziaływały kojąco w przyjacielu. W rozmowach nie przypominał Żwardoń owe go dnia, nie wspominała go również pani Henryka. Nie mówił jej o swojej miłości, ani jednym skurczem mięśni nie pozwalając sobie na ukazanie wobec pani Henryki szalejących w nim wirów.

Nie przeczył jej myślom, przesiąkniętym rozpaczą. Zgadzał się, że życie straszne jest. Ale czy można na to poradzić? Płacze tu na nic. Człowiek wali pięścią o szorstkie głązy i krwawi sobie ręce. Ponieważ walka jest istotą życia, trzeba to uznać, a wtedy narodzi się w nas odmienne widzenie świata.

Jeżeli nie treść słów, to sam sposób ich wymawiania zaprowadzał ład w życiu psychicznym pani Henryki. Zdarzało się nawet, że, przyjaźnie pożegnawszy Żwardonia wieczorem, nie spotykała go dnia następnego twarzą zniekaną i roztargnionem spojrzeniem.

Ale rana krwawiła wewnątrz, i lekarz zwątpił, czy się kiedykolwiek zabliźni. Gdy pewnego wieczoru, stojąc z panią Henryką przy fortepianie, nie zdołał pohamować pragnienia i zbyt blisko ośmielił się przychylić głowę, pani Henryka drgnęła nerwowo i odsunęła się o kilka kroków. A rozmowa upadła, jak ptak zwarzony mrozem.

Bo Żwardoń nie mógł już poprzestać na przyjaźni.

Przez długie wieczory słuchając muzyki, zatapiał się w grę przyjaciółki, próbując zajrzeć na samo dno jej duszy. Przez wytrwałe wsłuchiwanie się umiał już rozróżniać chwilowe usposobienie pani Henryki, w tonach uczył się odczytywać jej nastroje; tego jednakże, co pragnął w nich znaleźć, nie doszukał się.

Z biegiem czasu pani Henryka uspokoiła się niemal całkowicie. Wróciła jej wesołość, przytrafiały się chwile lekkomyślnej pogody. Stawała się swobodna i ufna—ale do pewnej, wyraźnie oznaczonej granicy. Żwardoń jął ze zdumieniem odkrywać w jej grze nowe, niebywałe uderzenia, jakby twarde, uparte, zuchwałe. Dochodziło do tego, że pani Henryka zaczęła robić uwagi złośliwe i wypowiadać myśli odważne.

— Jesteśmy przyjaciółmi, tylko przyjaciółmi—mówiło jej spojrzenie.

Żwardoń utracił równowagę. Zerwał się w nim bunt. Zauważył, że rozwój stosunku między nimi utknął na martwym punkcie, zrzucił więc z siebie maskę lekarza i odsłonił się. Pani Henryka, spłoszona, dopytywała o stan jego zdrowia, ale Żwardoń zapewnił ją, że właśnie teraz czuje się pod względem fizycznym doskonale.

Pewnego wieczoru kipiał i młotał się, jak nigdy dotąd. Nie chciał już miarkować swych słów i ruchów, nie chciał i nie miał siły tłumić swych pożądań.

Pani Henryka z lękiem spoglądała na niego błękitnymi oczami.

— Co się z panem dzieje, panie Feliksie?

— Nie dzieje się nic nowego, taki byłem zawsze.

— Wygląda pan, jak szalony.

— Może jestem taki.

— Nie można, panie Feliksie. Jeden raz w życiu miałam do czynienia z człowiekiem szalonym i za nic na świecie nie życzyłabym sobie jeszcze raz doświadczyć czegoś podobnego. Zresztą był to raczej człowiek podły.

Żwardoń postawił wszystko na jedną kartę:

— A jeżeli się pani omyliła? — jeżeli ten człowiek nie jest ani podły, ani szalony?

— Coby pan powiedział o człowieku, który zdradził naszą przyjaźń, zwabił nas w zasadzkę, a potem zachował się w najohydniejszy sposób, jaki sobie tylko można wyobrazić? Takiego człowieka musimy nazwać podłym albo, jeżeli nie wiedział, co robi, szalonym. Ja właśnie waham się, czy to był człowiek podły, czy szalony.

Żwardoń powtórzył głosem stanowczym, przekonywającym:

— A jeżeli ten człowiek nie jest ani podły ani szalony?

— W takim razie rzecz byłaby dla mnie niepojęta.

— A gdyby ją pani wytłumaczono?

— Takiej obrazy nie wybacza się nigdy, chyba że mowa o człowieku chorym.

— Ten człowiek jest zdrowy.

— W takim razie ja nic, nic nie rozumiem — mówiła, nerwowo rozcierając sobie policzki.

— A jeżeli ten człowiek postąpił, nawet szlachetnie?

— To niemożliwe! — zawołała podniesionym głosem.

— Jeżeli to, co uczynił, uczynił dla przyjaciela? — powiedział Żwardoń, natarczywie wzierając w oczy pani Henryki.

— Pan wiedział? — pan był z nim w zmo-wie? — krzyknęła.

— Wiedziałem.

— To pan jest również...

— Zaklinam panią, niechaj się pani powstrzyma z wypowiedzeniem tego słowa — wzburzonym głosem przerwał Żwardoń.

Jej oczy świeciły gorączkowo.

— Mów pan!

— Pani Henryko, czy pani może słuchać spokojnie?

— Mów pan!

— Powiem, jeżeli pani będzie słuchała spokojnie i uważnie, to znaczy z dobrą wolą.

— Mówże pan! — krzyknęła w największej irytacji.

— Na te dwa miesiące jedyne, szczęśliwe miesiące mego życia, zaklinam, niechaj się pani opanuje — prosił wzruszony — Potem pani rozważy, czy jej wolno takim słowem policzkować.

— Dobrze, będę słuchała uważnie.

— Ten człowiek nie jest szalony, ani podły, ani chory, ma bowiem przyjaciela, który widocznie jest mu droższy, niż pani, droższy nawet, niż szacunek pani. Ów przyjaciel kocha panią od lat trzech, ale między nim a panią wyniknęły nieporozumienia, nie dające się w zwykłych warunkach życia usunąć. Zwłaszcza, że uczucie pani zaczęło się skłaniać do tego człowieka, który w żadnym razie nie jest podły. Powiedział on do swego przyjaciela: „Ja jej nie kocham; zrobię tak, żeby ją zrazić do siebie, a zbliżyć do ciebie“. W jaki sposób tego dokonał — nie wiem, ale że dokonał, to fakt. Gdyby nie ten człowiek, jego przyjaciel nie miałby nawet prawa patrzeć na twarz uwielbianej przez siebie kobiety.

— Taki targ moją osobą, taki handel mojem sercem!

— Nie handel, pani Henryko, ale ofiara ze strony Trąbskiego. Teraz czekam na pani wyrok. Niechaj go pani wyda z najgłębszą powagą tak, jakgdyby pani podpisywała wyrok śmierci albo ułaskawienie.

— Że on mógł tak postąpić!

— Niechaj pani teraz wyda wyrok na nas i na siebie.

— Na siebie?

— Tak i na siebie. Pani jest piękna, taka piękna, że godzinami podziwiałem twarz pani, a po nocach śniłem o piękności pani. Przez trzy lata żyłem tą pięknością i do końca życia jej nie zapomnę, w jakikolwiek sposób dzisiaj pani rozstrzygnie. Oprócz tego jest pani zamożna. Jeżeli pani nas odtrąci, zostanie pani sama. Wtedy zjawią się ludzie nędzni i mali, zaleją panią pochlebstwami, połaszą się o pani majątek, i wątpię, czy pani wytrwa wobec życia sama jedna. To sprawa bardzo trudna! I piękność pani zostanie zhańbiona, subtelność pani natury zostanie zniszczona. Niechaj pani teraz rozstrzyga!

— To było okrutne z waszej strony!

— Niechaj pani rozstrzyga!

— Zaraz—w głowie mi kołuje—zaraz! Dziwni wy ludzie! Czy ja jestem taka naiwna, czy życie jest naprawdę takie okropne?

— Życie jest trudne i bardzo zawile, ale nie okropne.

— A jeżeli powiem to słowo—mówiła wolno badawczo patrząc w oczy Żwardonia—co pan wtedy powie o życiu?

Żwardoń, nie zdejmując wzroku z jej twarzy, milczał.

— Niech mi pan odpowiedź

— „Odetnij sobie rękę, a serce spal na ołtarzu”—radził kiedyś człowiek szalony swemu przyjacielowi. — Gdyby pani to słowo powiedziała, ja odpowiem: życie jest piękne, chociaż tak trudne, że śmierć wydaje się drobnostką.

— Jak można tak kochać?

— Jak można być tak piękną?

Zapadło duszne milczenie.

Po jakimś czasie zapytała:

— Czyby pan przysiągł, że serca wasze są wobec mnie czyste?

— Na miłość i na rzecz jeszcze jedną przysięgłbym!

Pani Henryka wstała. Z gmatwaniny uczuć, porywów i odruchów, odbijających się w ciągu rozmowy na jej twarzy, wylaniał się teraz wyraz dojrzałej kobiecości. Na chłodnej twarzy zabłysnął uśmiech dobroci i samowiedzy. Pierwszy raz ujrzał Żwardoń ten odcień, który od pewnego czasu przeczuwał, słuchając gry pani Henryki.

Milcząc, podała mu dłoń i usiadła przy fortepianie.

Z wnętrza instrumentu zabrzmiały dźwięki mocne, jak kucie mieczem w pancerz, twarde i dumne, jak oblicza rycerzy. A potem wsiąkały echowo w otchłań przeszłości i roznosiły się smutnem łkaniem, niby wołania tęskliwe czasów dokonanych. Lecz znów zahuczał grzmot miedziany, jak walenie młotem w bramy zamarte, i gwizdał wicher, szarpiący dzwonami.

Po chwili podniosła się od fortepianu smukła, giętka, piękna, jak Venus medycejska, i powiedziała cichym głosem:

— Teraz niech pan już idzie...

Karowski bywał u pani Narzeckiej coraz częściej, a miłość musiała już dość głęboko zapuścić korzenie, skoro od tygodnia każdą prawie jego wizytę poprzedzały kosze kwiatów. Te kwiaty jednak zdradziły Józia, bo pani Henryka stąd dorozumiała się, o co rzecz idzie. Żwardoń wiedział o odwiedzinach Karowskiego, ale, unikając z nim spotka-

nia, przychodził w godzinach, w których przyjaciółka innych gości nie przyjmowała. Pani Henryka, rozwiązawszy zagadkę, nie kryła jej oczywiście przed Żwardoniem, owszem, radziła się go nawet, w jakiby sposób przeciąć kłopotliwe konkury.

Wiadomość o załotach Karowskiego okazała się wnet bardzo pożyteczną, gdyż właśnie pewnego grudniowego dnia przyjechał Trąbski, a z nim Sara. Poznali się przypadkiem na dworcu w Wiedniu. Sara, zawsze skłonna do flirtu, skokietowała blondyna, który, znudzony czekaniem, ziewał. Blondyn, ocucany spojrzeniem niewiasty, wdał się w rozmowę. Przed Żwardoniem stanęli już jako dobrzy znajomi.

Sara wyglądała źle, lecz nie zmieniła się wcale. Żwardoń obserwował ją uważnie.

— Czego chcecie odemnie?—odepchnęła go wzrokiem.

— Chorowaliście?

— Ech!—machnęła ręką.—Powiedzcie mi lepiej, czy widujecie Karowskiego?

— Nie widuję go, ale mówiono mi, że jest zakochany w niejkiej pani Narzeckiej i zamierza ją poślubić.

— Łotr!—zakłęła Sara.

— Pani Henryka wychodzi za męża? — pytał Trąbski, przenikliwie spoglądając na Żwardonia.

— Wątpię—odparł Żwardoń krótko.

— Co to za osoba ta pani?—dopytywała Sara

— Dosyć zamożna osoba.

— Drań!—zakłęła.

— Sarol!—zniecierpliwił się Żwardoń.

— On jest podlec!—krzyknęła.

— Karowski? Na pierwszy rzut oka było przecież widoczne, jakiego to gatunku kawaler. Przy puszczam, żeście się chyba nie łudzili...

— Wszystko jedno, czy się łudziłam czy nie, ale on jest podlec, i ja go zdepcę, jak gadzinę

— Zemsta jest moja—mówi Pan—żartobliwie wtrącił Trąbski.

— Nie!—zemsta jest moja!

— Czemże pani tak dogryzł ów Karowski?—zaciekawiał się Trąbski.

— On mnie obraził—ten..

— Saro, Saro—mitygował Żwardoń.

— Zaznajomcie mnie z tą babą.

— Utemperujcie nareszcie swój studencki szwargot—ostro upominał Żwardoń.—Pani Narzeczka jest moją przyjaciółką.

— Ach, tak...?—zastanowiła się Sara.

— Pani Narzeczka jest moją przyjaciółką, i wołałbym, żebyście z nią nie zawierali znajomości.

Sara przycichła. Podniecenie nerwowe ustępowało miejsca nagłemu znużeniu.

— Tak, tak—powtórzyła.

— Moi państwo, zostawiam was samych. Jestem okropnie zmęczony. Pannie Sarze radziłbym również iść spać—rzekł Trąbski.

— Nie, teraz już nie usnę.

Trąbski poszedł do swego pokoju.

— Pozwólcie mi ją poznać — waszą przyjaciółkę...—prosiła Żwardonia.

— Po co?

— Chciałabym zobaczyć tę szczęśliwą kobietę—szczęśliwszą odemnie.

Łzy potoczyły się z jej oczu.

— Saro!—cóż to znowu?!—drgnął Żwardoń.

— Kocham was, tak kocham, że za jedną noc szczęśliwą z wami życiebym oddała.

— Nie jestem Trąbskim, który w każdej kobiecie może się zakochać na jeden dzień.

— Dawno już znacie ją?

— Trzy lata.

— Trzy lata już? — cóż więc miało znaczyć wasze powiedzenie w Zurychu: „trzeba wiedzieć, kiedy się należy oddać?”

— Mówilem o najgorszych czasach mego życia. Chciałem ugasić gorączkę, a wyście wtedy byli piękna.

— W tedy?

— Tylko wtedy, Saro.

— Potem popadłam w niełaskę? dlaczego? Co mi zarzucacie?

— Karowskiego.

— Nie wolno mi się bawić, żyć jak mi się podoba?

— Wolno, ale właśnie wątpię, czy się bawicie rzeczywiście. Nudzicie się...

— Nudzę się? — Tak, nudzę się — i rozstała obie ręce, uśmiechając się z goryczą. — Nudzę się. — Oczy jej zaiskrzyły się. — Więc chodź do mnie, kochanku, chodź i wróć mi życie, któreś zabrał — ty!

— Zbigniew — zawołał Żwardoń — śpisz już?

— Gdzież tam! Dręczą mnie dwie syreny weneckie. Było to coś niesłychanego, coś wprost gorszącego. Szły wąską uliczką, pełną ludzi i złotego kurzu, i, śmiejąc się swawolnie, obwieszczały: *donne del piacere, donne del gran'piacere!* Ha! ha! ha! Na tego rodzaju reklamę w jasne południe, u stóp prastarej świątyni, nie zdobyłyby się nasze północne dewotki. One uprawiają rozpustę w nocy, a z rana idą błagać Pana Boga o odpuśczenie im tego grzechu.

Po chwili Trąbski wpadł do pokoju.

— Felek! — powiadam ci, trzeba porozbijać te polskie trumny i pokazać narodowi wesołość i rozkosz. Żyją one w nas, jak żyły w Kochanow-

skim—tylko w stanie hypochondrycznym. O jój!—zwrócił się do Sary — cóż to za smęt, jakby pani połknęła trzy polskie żaby! Niech mi pani wierzy: cudne jest życie, a rozkosz prześladka. Podła jest tylko nędza wychudła, i należy ją coprędzej pędzić batogami het na północ — tę zdechłą nędzę. W przyszłości będzie ludzkość zawodowych melancholików transportowała na leczenie do Nerczyńska.

— Zbigniew, Zbigniew! — hamował Żwardoń. — Zawiaż sobie język, Sara musi się wyspać

— La prego, signorina. — Trąbski skłonił się kokieteryjnie. — Tu, czy tam, czy może...

Sara parsknęła śmiechem.

— Słodki chłopak! A podobam się?

— Jak świeża figa palestyńska!

— Nie jestem tutaj więcej potrzebny — rzekł wesoło Żwardoń. — Bawcie się przyjemnie. Macie nawet wino, możecie sobie na poczekaniu skomponować Włochy.

— A ty dokąd?

— Do pani Henryki.

— Jeszcze się na mnie gniewa?

— Nie.

— Nie?! — no — no — mądra kobieta! Wobec tego pokłoń się jej odemnie i dodaj, że ma głowę piękną, jak jedna Venus w Museo Nazionale. Buona sera, dolcissimo.

Żwardoń patrzył na niego z tkliwością.

— Kiedy ty się nareszcie usatkujeś, chłopcze?

— Niedługo. Gdy zdobędę sławę w gazetach, a pieniądze na publiczności, co mi się wkrótce przytrafi, jako że łono me zostało zapłodnione przez wyuzdane Włochy.

Wiadomość, że Karowski zmierza do kobierca, dołała oliwy do ognia. Duma Sary cierpiała z tego powodu, że właściwie on bawił się nią, a nie ona nim. List, otrzymany podczas ciężkiej choroby, przejął Sarę wzgardą dla kochanka. Wprawdzie od samego początku nie łudziła się co do wartości Karowskiego, jednakże postępowanie jego w ostatnich czasach odczuła jako nie do przebaczenia nikczemne. — On śmiał pisać o jakichś obowiązkach! Ten smarkaty, głupi, ładnie zbudowany Józio odważa się robić jej rozsądne wymówki! — grozić, że nie wróci! — gestem panicza, opłacającego utrzymanie, posyłać pieniądze! — Była przekonana, że to wpływ rodziny, którą знаła z relacji Józia-rewolucjonisty, i nie przypuszczała, żeby Karowski potrafił i chciał walczyć. Ale swoją drogą depesza doprowadziła ją do pasji. Pierwszym jej odruchem było pojechać do Warszawy i wziąć Karowskiego na spytki. Doznawała szatańskie radości, wyobrażając sobie, jakie uczyni wrażenie, gdy, nagle zjawiwszy się w domu Karowskich, przedstawi się im, jako pretendentka do ręki i fortuny Józia. Prawo do tego posiada bez wątpienia. Związał się, przyrzekł się nawet żenić — ha! ha! ha! Ona się przechrzci i — i dawajcie mi kochanego Józia! Chcę go za małżonka na wieczne czasy. — Czekaścież, państwo Karowscy. Ja wam jeszcze nawarzę bigosu! Byłam taka łaskawa, że raczyłam go dopuścić do swego łóżka, a wy, zamiast okazać mi wdzięczność za takie wyróżnienie waszej rodziny, spiskujecie przeciwko mnie? Zgodą! Spróbujemy się! W każdym razie wsadzę kij w wasze mrowisko. Potańczycie trochę — niech mam przynajmniej to zadośćuczynienie.

W Warszawie plan jej skryształizował się całkiem wyraźnie. Musi tylko przez Zwardonia po-

zyskać panią Narzecką. Trąbskiego ucieszył pyszny kawał. Żwardoń dał się również namówić. Szło teraz o to, aby do gry wciągnąć jego przyjaciółkę. Sara skorzystała z tej sposobności, aby wymóżyć od Żwardonia pozwolenie na poznanie się z panią Henryką.

— Tylko, Saro...—godził się w końcu Żwardoń. Sara oburzyła się.

— Ostatecznie nie jestem znowu taka gruboskórna. Rozmowa będzie dotyczyła wyłącznie Karowskiego.

Następnego dnia odwiedziła panią Henrykę, która nie od razu decydowała się na uznanie projektu Sary. Nie rozumiała aktu zemsty, chociaż Karowski przedstawił się jej teraz ze strony zupełnie nowej.

— Jakże mogła pani, nie kochając go, być z nim?

— Tyle kobiet żyje z mężczyznami, których nie kochają..

— Ale nie z własnego wyboru.

— Nawet i bez wyboru własnego, a jednak żyją.

— Więc pani, nie kochając i swobodna, tylko dlatego..

Tak. I dlatego, że on zachował się, jakgdybym ja do niego należała — dlatego go nienawidzę. Ja jestem wolna i żyję, jak mi się podoba, bawię się.. jak chcę, z kim chcę, i nie należę do nikogo. Daję się, bo mi się tak zachciało, ale nie należę do nikogo.

— No a skutki?

— Dzieci nie chcę. Dziecka pragnęłabym z jedynym mężczyzną, ale ten kocha inną.

— Gdyby jednak panią kochał, tedy pani założyła rodzinę?

— Nigdy w życiu! Niema między ludźmi pa-skudniejszych stosunków, niż stosunki małżeńskie i rodzinne.

— No, nie wiem...

— Ale ja się zemszczę — wróciła do swego tematu Sara.—Czy pani tego nie pojmuje? Obna-żyć ich i zagrać, żeby zatańczyli tak, jak są. On mnie poważyl się obrazić, mnie „rzucić”—Józio?!

Pani Henryka uśmiechnęła się do siebie.

— Dawniej odmówiłabym, lecz i ja zaczynam się wśród was zmieniać.

— Wśród Żwardonia...

— W towarzystwie was wszystkich. Trąbskie-go pani zna?

— Poznałam go niedawno. Z tym chłopcem chciałoby się włóczyć po świecie, jak z przyjacie-lem, bawić się, pić, patrzeć na ludzi i rozmyślać.

— Aha! — klasnęła pani Henryka rękami. — Tylko jest w nim coś — chociaż zresztą nie tylko w nim — wogóle w was wszystkich jest coś takie-go, co niepokoi.

— Bo spokojni nie jesteśmy!

— A Żwardonia pani zna?

— Tak, dość dobrze. A co?

— Nic, tak sobie. Dziwny to człowiek jed-nakże, prawda?

— Zobaczywszy panią, zrozumiałam go zu-pełnie.

Pani Henryka zmieszała się.

— Dlaczego?...

— Pani jest piękna.

— Ależ, pani...

— Pani jest tak piękna, że jej piękność zmu-sza do zapomnienia o sobie.

— Po co to pani mówi?

— Żeby pani to wiedziała, żeby pani umiała

cenie swą wartość. On pokochałby mnie, gdybym posiadała twarz pani.

— Kto?—zdziwiła się pani Henryka.

— Ten, który mnie nie kocha.

— Jak pani mogła kochać innego, a żyć z innym?

— Widocznie mogłam.

— I to pani nie zbrukało?

— Ani trochę.

— Pani musi być bardzo silna!

— Silna jestem, ale cóż mi z mej siły?

— Widzi pani, a cóż mnie z mej piękności?

— Panią przecież kochają!

Pani Henryka zamyśliła się i po chwili, bystro patrząc Sarze w oczy, zapytała:

— Panno Saro, ja pani ufam. Niech mi pani powie: co to jest za człowiek Żwardoń?

Sara, zwlekając z odpowiedzią, milczała. Zadumała się smutnie. Potem podniosła głowę i, spoglądając oczyma zrezygnowanego człowieka, powiedziała:

— Jest to człowiek całkowity i czysty, odważny, jak mało kto. Rzadko spotyka się ludzi, którym tak można wierzyć, jak jemu. W ostatnim roku zaczęła go trapić jakaś choroba, ale mnie się wydaje, że wyzdrowieje. Tak ja go odczuwam, i to jest prawda.

— To jest prawda, bo tym człowiekiem, którego pani kocha jest... — mówiła pani Henryka, wstając z krzesła.

— Tak — przerwała jej Sara, gotując się do odejścia.

Lecz pani Henryka przyciągnęła ją do siebie i, objąwszy, całowała jej oczy wilgotne i spieczona usta.

— — — — —

Pani Naczecka zaprosiła Karowskich na podwieczorek. Sara, Żwardoń i Trąbski, któremu pani Henryka pozwoliła wziąć udział w przyjęciu, mieli nadejść zaraz po Karowskich.

Z rodziny Józia stawiała się tylko mama, stryj i, oczywiście, syn. Ojciec, jako lekkomyślny, został wyłączony, a Jadzię posłano do znajomych. Mama przystroiła się bogato; stryj, jako poważny mecenas, wdział długi, czarny surdut; Józio—elegancki smoking. Zaproszenie pani Henryki pachniało czemś ważnem — według dżagnozy stryja — i dlatego oblicza wszystkich osób tchnęły namaszczeniem.

Pani Henryka, raz podjąwszy się grać rolę intrygantki, była już spokojna. Przyjęła gości w ciemnej sukni, zapiętej pod szyją brylantowym kamykiem.

Józio natychmiast ocenił prosty wykwińt stroju przyszłej żony i swój podziw wyraził w formie odpowiedniego komplementu. Lecz pani Henryka nie zwróciła na jego słowa uwagi i, obliczywszy, że służąca już uwiadomiła przyjaciół, czekających w pobliskiej cukierni, rozpoczęła grę.

— Bardzo się cieszę, że państwo byli łaskawi mnie odwiedzić, zwłaszcza, że chciałabym zasięgnąć od was dokładnych informacji o pewnej kłopotliwej sprawie.

Pani Karowska i syn skrzyżowali między sobą niespokojne spojrzenia, w milczeniu czekając na ciąg dalszy, ale stryj Stanisław zabrał głos:

— Zawsze byłem i jestem do usług piękności, czy idzie o konflikty z kodeksem karnym, czy o kolizje z prawodawstwem Kupidyna.

— Zawsze jednakowo dowcipny — uśmiechnęła się pani Henryka. — Tym razem bożek mi-

łości zmusza mnie do szukania porady u szanownego mecenasa.

Na te słowa Józio zapłonił się, pani Karowska nerwowo zaszeleściła halką, lecz wytrawny mecenas utkwiał w gospodyni oczy badawcze:

— Mój dowcip staje bezradny wobec nieprzeniknionych mroków łaskawej pani.

— Otrzymałam dzisiaj ten list — powiedziała pani Henryka, wręczając stryjowi arkusik papieru. — Może pan zechce go przejrzeć.

Karowski, zdaleka zoczywszy pismo Sary, zbladł i spuścił powieki. Mama wczepiła się oczami w stryja, który z zimną krwią przeczytał list od deski do deski i oddał go bratankowi, maskując wrażenie złośliwym grymasem.

— Do ciebie, Józiu, od jakiejś panny Sary Rosenzweig.

Pani Karowska, podskoczywszy na fotelu, jak sędziwy konik polny, wybuchnęła głośnie oburzeniem:

— Ciągłe jeszcze ona?

Józio ujął list trzęsącemi się rękami i, nie odważając się spojrzeć na przyszlą żonę, z trudem próbował go sylabizować.

Pani Henryka z zimną krwią obserwowała swego konkurenta.

— I cóż na ten list pani? — flegmatycznie zainterpelował stryj, akcentując ostatni wyraz.

— Przyznam się, że mnie trochę zastanowił, ale spodziewam się, że pan Józef udzieli nam wszystkim wyczerpujących wyjaśnień. Zamiary pańskiego bratanka zauważyłam już od jakiegoś czasu. Rozumie pan, że ten list teraz, o ileby zawierał prawdę, zupełnie zmieni postać rzeczy.

Stryj Stanisław potakiwał głową.

— I cóż na to pan, panie Józefie — zwróciła się do Karowskiego.

— Ja! Ależ to wszystko jest wierutnem kłamstwem! — zawołał z gniewem, rzucając list na podłogę.

— Dziwię się, że pani nawet przez chwilę zwątpiła o moim synu — z irytacją wmieszała się pani Karowska, zapominając, że właściwie powinna być w danej chwili znajdować się, jak tabaka w rogu. — Nie można przecież dawać wiary byle jakim wymysłom ze strony osoby, która Bóg wie co popisała.

— Dlatego też zapytuję pana Józefa — odparła pani Henryka.

— Józiu! — zaczął stryj lawirować — coś prawdy w tem wszystkiem być musi, łobuzie jeden, ale prawdopodobnie nic tak złego, co by stanowiło przestępstwo w kodeksie Kupidyna. Powiadam „coś“, ponieważ cały ten list wygląda mi na intrygę kochliwej i z pewnością niebrzydkiej Żydóweczki.

— Myli się stryj. Cały ten list jest wierutnem kłamstwem — zaperzył się Józio.

W tej chwili rozsunała się portjera, i w pokoju ukazała się Sara. Za nią cicho postępował Żwardoń, a Trąbski, zmieszany, niezgrabnie ukloniwszy się pani Henryce, zemknął za krzewy kwiatów, stojące w rogu saloniku.

Karowski, który zajmował miejsce wprost na przeciwko portjery, zastygł w pozie człowieka zaperzonego, osłupiałym wzrokiem patrząc na swoją kochankę.

— Józiu, powiedz mi w oczy, żeś nie był moim kochankiem, żeś mi nie obiecywał ożenić się, jeżeli tego zażądam!

Sara rozgorączkowanemi oczami prześladowała Karowskiego, który, skuliwszy się na fotelu, spoglądał na nią, jak na żywy koszmar.

— Pani Henryko — odezwał się wzburzonym głosem stryj Stanisław — kto są ci państwo?

— Moi dobrzy znajomi: panna Sara Rosenzweig, pan...

— Pani zadajesz się z taką hołotą?! — zapędził się stryj Stanisław, nie dosłuchawszy końca.

— Zgrozał zgrozał — jęczała mama.

Żwardoń, przemknąwszy się między fotelami a stołem, wpił oczy w stryja.

— Wara mówić takie słowa, bo wezmę za kark i strącę ze schodów — szepnęła męcenasowi do ucha.

Józio, gdy Żwardoń przechodził obok niego, z hałasem pchnął się w tył na fotelu, w obawie, żeby mu Żwardoń nóg nie rozgniół. Gdy jednak Żwardoń przeszedł, Józio porwał się z siedzenia i histerycznym głosem wrzasnął, palcami wskazując na niego.

— On jest złodziejem, on mi ukradł sto franków.

Żwardoń zwrócił się do Karowskiego. Józio pod naporem jego zbieleiałych oczu jął się wycofywać za kwiaty, lecz tu dostał się wręce Trąbskiego, który pękając ze śmiechu, chwycił go za smoking i zakrzyczał:

— Ha! tuś mi zajączku! Teraz już się nie wymkniesz! — Ha! — rzucę cię na pożarcie żarłocznemu tygrysowi.

Sara, Żwardoń i pani Henryka zanieśli się niepohamowanym śmiechem. Karowscy byli zupełnie ogłuszeni. Nawet stryj Stanisław, na chwilę straciwszy głowę, zagryzał wąsy i drygał głową, kombinując, jak wybrnąć z tego położenia.

Dopiero pani Henryka gwałtem stłumiwszy śmiech, przemówiła:

— Szanowni państwo! Jesteście moimi gośćmi, proszę was uprzejmie, zechciejcie wyrażać się przyzwoicie.

— Józiu, zaprzecz! — zawołała Sara.

Wtedy Karowski, wyrwawszy połę smokinga z garści Trąbskiego, wystąpił naprzód:

— Byłaś moją kochanką i sama jesteś temu winna—rzekł, patrząc jej zuchwale w oczy.

Na te słowa bratanek stryj z wściekłością klasnął palcami i karcącym spojrzeniem zdruzgotał Józia.

Pani Karowska, załamując ręce, krzyknęła:

— Józiu, jak ci nie wstyd mówić takie rzeczy! Ty nas wszystkich wpędzisz do grobów!

Lecz Józio uważał się w tej chwili za mężczyznę, odpowiedzialnego za swe miłostki.

— Tyś mnie kokietowała, tyś mnie wabiła do siebie, jak samiczka, tyś wznosiła toasty: „niech żyje żądza ciał”.

— Józiu! Józiu! — co za hańba! co za bezwstyd! — pisała pani Karowska.

— Dlaczego jednak przed chwilą zaparłeś się tego dwukrotnie? — paliła go wzrokiem Sara.

— Cóż miał zrobić? — wziąć panią w objęcia i zaprezentować nam, jako swoją narzeczoną? — zachrzypiał stryj.

— Niel! Gdyby mi się pański bratanek oświadczył, tobym go odrzuciła. Nie dla takich jestem stworzona na żonę.

— Dziękować Bogu, nie znalazł się jeszcze w naszej rodzinie taki wyrodek, któryby prosił o rękę Żydówki — syknęła pani Karowska.

— Ale niejednen zmieszał swoją krew szlachecką z krwią mojego narodu.

— Na nieszczęście naszej ojczyzny!—uderzył w patos adwokat.

— Na nieszczęście rachunków posagowych rodziny Karowskich — racz pan ściślej sformułować swe pojęcie ojczyzny — bryznął z kąta Trąbski.

— Cóż tam za świerszcz skrzeczy z kąta? — wcale go nawet nie widać — mścił się stryj za bratanka, robiąc z dłoni daszek na czole.

— Mój przyjaciel, Zbigniew Trąbski, literat— niech sobie z łaski swej zapamięta mecenas—powiedziała podnieconym głosem pani Henryka.

Trąbski wyszedł z poza kwiatów i, nerwowo ściągając niesforny krawat ku dołowi, kłaniał się.

— Bardzo mi przyjemnie zawrzeć znajomość z kawalerem — kiwał stryj głową. — Szkoda tylko że kawaler zawczasu nie uporządkował swej garderoby.

— Wolę utrzymywać porządek w głowie, niż pod brodą—odpalił Trąbski.

— No—no!—przegryzał stryj wąsy i, zwracając się do Żwardonia, zapytał:

— Z kim mam zaszczyt, bo ja jestem adwokat przysięgły Stanisław Karowski.

— Feliks Żwardoń.

— No, tak. Teraz zaznajomiliśmy się mniej więcej z miłym towarzystwem szanownej pani gospodyni — cedził stryj, mściwem spojrzeniem przeszywając panią Henrykę i wygodnie sadowiając się przy stole. — Tandem możemy przystąpić do rzeczy. Czego właściwie domaga się pani? — zaczął do Sary.—Nie istnieje u nas prawo, któreby nakazywało mężczyźnie poślubić jakąś kobietę, posładamy natomiast paragrafy, określające zobowiązania mężczyzny wobec kobiety, o ile jednak poprzednio został ustalony fakt ojcostwa. Ale

w danym wypadku należałoby przedewszystkiem stwierdzić, jak mi się wydaje, fakt macierzyństwa? — mówił cynicznie, mierząc Sarę od stóp do biustu.

Po tem zagajeniu zapanowała wśród zebranych złowroga cisza, cisza, w której uważne ucho dosłyszy zmaganie się psychicznych żywiołów. W takiej ciszy wystarczy jeden ruch, albo krzyk jeden, czy słowo, aby wyzwolić ukrytą energję — i burza wydziera się z dusz ludzkich,

Ten moment rozpoznał Trąbski.

Przeczuwając, że za sekundę może nastąpić coś strasznego, zerwał milczenie:

— Widzę, że pan mecenas, zadraśnięty niespodziewaną sytuacją i rolą, jaka mu w niej przypadła, wziął się sprawę doprowadzić do samego końca, nie bacząc na skutki, jakie z takiego postępowania musiałyby wyniknąć. Ambicje, namiętności, tajne plany i lekkomyślność natury ludzkiej wypłynęły tu na jaw, a że nie znoszą światła dziennego, mogły nam podszeptać słowa, po których człowiek zanurza się w noc pierwotnego szaleństwa. Ale jednak wszyscy tu jesteśmy ludźmi i wszyscy mniej lub więcej winni. Jeżeli pan w ten sposób będzie kontynuował, to wreszcie zmusi pan pannę Sarę do odpowiedzi, której pan nie będzie mógł przemilczeć, — a wtedy za nią ujmę się ja lub Żwardoń. A jednak wszyscy tu jesteśmy mniej lub więcej winni. Nie wolno sądzić jednego człowieka innemu, bo jego sąd zawsze wypadnie niesprawiedliwie. Istnieją tylko starcia namiętności i uczuć, lecz niema praw, według których jedne namiętności uważalibyśmy za sprawiedliwe, inne za niesprawiedliwe. Nie znaleźliśmy kodeksu, drutującego prawami ludzką duszę, a gdybyśmy zechcieli rozstrzygnąć zagad-

nienie, kto tu z nas winien, rozstrzygalibyśmy dowolnie, każdy stosownie do swej natury, swoich poglądów albo nawyków myślowych. Każdy z nas umiałby bronić swego postępowania i każdy z nas byłby przekonany, że słuszność niezawodnie leży po jego stronie. Otóż z tego stanowiska winna jest tutaj jedna osoba, że dla zaspokojenia swej zemsty nas tu wszystkich zwołała, a my winni jesteśmy, żeśmy nie przewidzieli kosekwencji takiego obrotu rzeczy. Oto jedyny paragraf, któryby tutaj należało zaaplikować.

— Zgodzić się z pańskimi wywodami nie sposób—replikował adwokat. — Brakuje panu fundamentalnej podstawy w poglądzie na prawo. Prawo jest jedno dla wszystkich. Lecz z innych względów pewnej słuszności odmówić panu nie można. Pozostała nam jednak sprawa druga, która dzisiaj właśnie stanęła na porządku dziennym. Bratanek mój nazwał pana Żwardonia...

Trąbski przerwał stryjowi:

— Felek, czy poczuwasz się do winy?

Żwardoń wsparł się rękami na poręczach fotelu i odpowiedział głośno:

— Nieporozumienie pieniężne z panem Józefem Karowskim załatwię jeszcze dzisiaj.

— Czego właściwie więcej może się szanowny pan jeszcze domagać? — zapytał Trąbski stryja.

Trąbskiemu pomogła pani Karowska. Wstała i, gorejąc, jak komin pędzącej lokomotywy, odezwała się:

— Chodźmy stąd, Stanisławie. Wpadliśmy w gorszące towarzystwo. Podziękujmy pani Narzeckiej za smaczny podwieczorek i wracajmy do siebie. Pójdź, Józiu!

Co powiedziawszy, dwoma palcami zebrała

spódnicę i, wzgardliwym spojrzeniem obrzucając towarzystwo, zniknęła za portjerą. Za nią w milczeniu podniósł się stryj Stanisław. Józio, hardo zadarłszy głowę, na nikogo nie patrząc, podążył za stryjem.

— Jakto dobrze, że sobie nareszcie poszli ci państwo!—z ulgą westchnęła pani Henryka.

— Ładnieście mnie ubrali!—powiedziała Sara do Trąbskiego.

— Nie można było inaczej. Ten kanzyperda zaciął się, jak zardzewiały zamek, i cała historia mogła się zakończyć fatalnie. Zresztą dopięliście swego: pani Henryka pozbyła się konkurenta, a oni zapamiętają sobie dzień dzisiejszy aż do śmierci. Tragifarsa skończona. Pozwólmmy teraz odpocząć gospodyni.

Zgiął się przed dawną przyjaciółką w ukłonie, pełnym szacunku; pani Henryka jednak podała mu rękę.

— Zapomniane?—zapytał cicho.

— I przebaczone!

— Pani jest wspaniała kobietą! Przyznaję, że nie znałem pani—dziękował z zapalem.

— Zmieniłam się.

Trąbski spojrzał na Sarę, która siedziała jakby zwinięta w siebie, samotna i smutna.

— Panno Saro!

Popatrzyła znużonemi oczyma:

— Dajcie mi spokój! Czuję się, jak po okropnem pijaństwie.

— Klin klinem, panno Saro.

— A to wstyd, wielki wstyd — rzekła pani Henryka pieszczotliwie.

— Życie, życie—wieczna tęsknota!...

Oczy Trąbskiego rozbliły. Cicha poświata, wyniknawszy ze źródła swego, niby promień ze

słońca, zatiła się białą jasnością na jego mądrym czole:

— Pocóżes, osobo ze Wschodu, zabłąkała się na Północ? Nie lubią cię ludzie północni, żeś inna, a przecież z twego narodu powstał Jedynyl Tragifarsal

— Przeto nie płacz, dziewczeczko, albowiem sprawiedliwości stanie się zadość. Błazny dostaną dzwonki błazeńskie, niewolnikom założą obrozę na szyję, a królewska córka opuści stragany i zajmie tron królewski.

Mówił to, jak się opowiada bajkę, z uśmiechem żartobliwym na ustach.

Sara spoglądała na niego, jak dziecko już uśmiechające się, chociaż łzy ciekną mu jeszcze z oczu.

Twarze wszystkich, stroskane dotąd, rozświećliły się, niby mroczna głąb puszczy, gdy ją przesłoneczni dzienna gwiazda.

Spokój pogodny nawiedzał serca bijące niby zegary w otchłani czasu.

---

Żwardoń wybrał sobie takie miejsce, z którego mógł dobrze widzieć profil pani Henryki, i wsłuchiwał się w jej grę. Dzisiaj podsłuchiwał świeże, nieznane dawniej uderzenia.

Z pod jej palców płynęły zrazu brzęki pieściwe i ciepłe; potem z pośród słodkich melodji wyrывał się z nagłą wichler, jak orkan ze środka błogiej oazy, i tchnieniem ognistem przelatywał w przestrzeni. Zda się, słyhać było tupot rozgryzających, nagich stóp nimf, ściganych przez satyry.

Cisza.

A potem zły szept, niby oko zezujące.

I znowu palce długie, niedbale przebiegając po białych zębach, z uwagą zatrzymywały się na tonach wrzących, namiętnych — i znowu zgrzyt kłapiący, niby parskanie gniewnego kota.

Przebrzmiały oddzielne akordy, zmąciły się dźwięki gorące z rojeniami pieśniami, zagasał skrzek zazdrości, a coraz swobodniej unosiło się nad pstrokacizną bezładu miłosne wołanie na podobieństwo jastrzębia białego, płynącego roztozczami nieogarnionego błękitu.

Pilnie rozpatrywał Żwardoń twarz pani Henryki, gdy, skończywszy, zaplotła dłonie na głowie i, przysmykając oczy, przegięła się w tył.

Zdjął go lęk wobec tego, co się stać miało, ale siła, mocniejsza, niż lęk, przyciągała go do niej. Wstał lekko, jak tygrys, i cicho skradał się do głowy pani Henryki. Stał nad nią. Powieki jej zatrzepotały, mignęły oczy senne, tęskliwe, i znikły pod zasłonami powiek. Ukląkł na jedno kolano i pocałował ją gorącemi wargami. Wyprężyła się. Gdy odjął usta, otworzyła oczy i, potrząsnawszy głową, jakby z niej coś zrzuciła, zawięła mu ramiona na szyi:

- Kocham, oprócz ciebie, jeszcze kogoś...
- Kogo?
- Zbigniewa.
- I ja go kocham.

Była mroźna noc styczniowa. Niby widma olbrzymie, odziane śnieżnymi płaszczami, kołysały się w ogrodzie kasztany wysokie, białe, ciche.

Prześwietne niebo mrowiło się od gwiazd roziskrzonych, niemych, a spokojnych, jak dusza człeka nabożnego.

I serca, skute przyjaźnią aż do śmierci, pojął w niewolę ten spokój nocy zimowej.

Rozmawiali o sprawie najważniejszej: mówili o sobie:

Na stole czerwieniło się wino, lśniły szklanki niedopite.

— W tej tragedji pokazane będzie — ciągnął dalej Trąbski — jako sprawiedliwie ponosi karę księstwo Ferrary, przez zbrodnie i nikczemność panów swych i władców wydane na łup żołdakom Kościoła, który wówczas coraz już mocniej zaciskał pętlę na szyi niedawno odrodzonego człowieka. Finis Ferrariae! — ten tytuł i sam pomysł skradziony — uśmiechnął się Trąbski.

— Jeśli napiszesz, może na dobranoc jakiś synek fabrykancki, albo nawet całkiem wykształcony człowiek przeczyta pierwszy djałog, co go doskonale usposobi do snu — zauważył Żwardoń.

— Masz słuszność. Felku, ale jeśli dzieła dokonam, prędzej lub później znajdzie ono swych słuchaczów i czytelników, jak magnes, przyciągający opilki żelaza. Bo jednakże twórczość jest djałogiem, a nie monologiem. Wreszcie gwiazdom odczytam najlepsze sceny, a prolog poświęcę Nieznanemu zamiast rannego pacierza, którego już od długich lat nie odmawiałem.

— Pilnuj się tylko kostuś, żeby cię przedtem nie zmiotła, skoro już nie na żarty zakwaterowała się w twojem prawem płucu — odezwał się Żwardoń.

— No, jeszcze sobie starucha na mnie zęby pokruszy — rzekł Trąbski! — Ale o ciebie się obawiam bracie.

Żwardoń spojrzał pytająco.

— Bezczyń — mówił Trąbski — jest w pewnym już wieku najniebezpieczniejszą pokusą. Wróg

czyha na nas każdej godziny: albo naciera wręcz, albo zastawia pułapki rozmaite, dla każdego inną; a nawet oręż własny, którym walczymy, okazuje się często zdrajcą, przekupionym przez naszego śmiertelnego wroga. Wtedy, gdy widzę te boje, toczące się w nas między aniołem a szatanem, między życiem a śmiercią, doznaję, jako świadcymy aktor tego pięknego dramatu, wzniosłej radości. Lecz gdy spoglądam na ludzi z tej wysokości, na jaką każdy z nich wejść mógłby, gdy widzę, że prawie nikt nie dotrzymuje obietnicy, zaprzysiężonej sobie w młodości, — wtedy czuję się bardzo samotny. A przecież ciebie tylko jednego, w istocie ciebie jednego tylko posiadam.

— Właśnie przed kilku dniami — odparł Żwardoń — postanowiłem pójść do fabryki na zwyczajnego robotnika. Różni są robotnicy, ale ja nadaję się dzisiaj na takiego robotnika. Mam potrzebę pracy fizycznej — może jako lekarstwo po przesyceniu się inteligentnem kuglarstwem. Twórcą, artystą, uczonym, zawodowcem z powołania nie jestem. Będę walczył, jako zwykły robotnik.

— Przypomniat mi się wiersz Kellera — powiedział Trąbski — jednego z niewielu współczesnych poetów:

Nadzieja, zatracenia lęk —  
Z jednaką mocą we mnie wstają;  
Istnienia radość, śmiertelny lęk  
Na mojem sercu w kości grają.

Lecz ja — świadome moje ja —  
Tę grzę przygląda się w spokoju,  
I zbroi się już dusza ma  
Do zwycięskiego z łossem boju \*)

---

\*) Przekład Alfreda Torma.

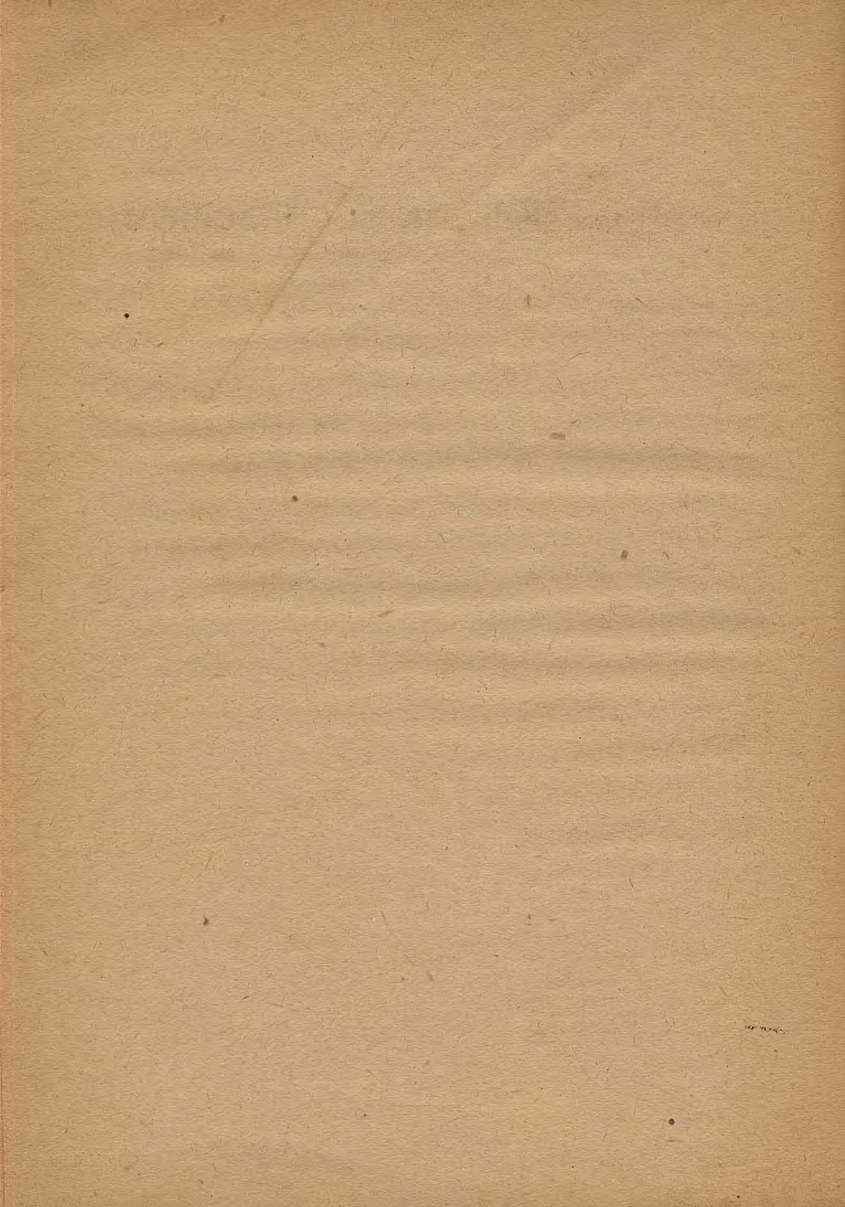
— Piękne, prawda? Zbrój się człowieku do walki z losem, do walki o swoje prawo, abys z dumą przyjął śmierć, jako ten, co swoje spełnił. Taki był sobie pocziwy Szwajcar, gruby piwosz, ten Keller. Gdy go pewien literat niemiecki nazwał lwem, odpowiedział: „Ich bin kein Löwe, ich bin nur ein dicker Kerl“. Piękne — co?

— Tak — zbył Zwardoń. — Więc uważasz, Zbigniewie — ciągnął dalej swoją myśl — tak sobie gdzieś cicho usiądę, będę żył za rubla dziennie i myślę, że z tego powodu nie pogardzi mną ani pani Henryka, ani ty. O innych zaś nie dbam.

— Kiedy powiedziałeś, że sobie cicho usiądziesz — mówił Trąbski — ujrzałem oryginalny obraz — jakgdybyś powiedział: wezmę strzelbę, pójdę do lasu i będę czatował na zwierzynę. Ujrzałem cię, jak siedzisz na leśnym pniaku, pod sosną, i skupionym, złowieszczym wzrokiem wypatrujesz na wierzchołku drzewa jakiegoś dzikiego ptaka...

---

# **GODZINA MOCHNACKIEGO**



Chłopicki zdradza rewolucję — zawołał Maurycy Mochnacki, blady, oczami niby dwoma płomienistemi biczami podżegając zgromadzenie, składające się z cywilnych, żołnierzy, akademików, posłów na sejm, oficerów i miastowej gawiedzi.

Zakotłowało się na te słowa na sali, zawrzał motłoch i naparł na mównicę. Nad pomostem głów ukazały się kije sękatę, błysnęły szpady oficerskie, zamigotały stalowe igły bagnetów. Jak wiatr, który zleci na łan żyta spokojny, przygnie go najpierw ku ziemi, zwichrzy potem i zacznie targać na wsze strony, podobnie na zebrany tłum oddziałała zlewaga, wyrządzona przez zuchwałe słowa młodego mówcy ulubionemu generałowi Warszawy.

Zerwał się ryk straszliwy.

- Precz z nimi!
- Sameś zdrajca!
- Oszczercal!
- Za talary pruskie kupiony!
- Hultaj!
- Cenzor!
- Skryba Szaniawskiego!
- Precz ze stoł!
- Zatkać mu ołowiem plugawą gębę!
- Sprzedawczyki!

— Famulus Lubeckiego!

— Wróg ojczyzny!

Burza wstrząsnęła zgromadzeniem i, zdało się, wnet zajmie przód sali, zabierze mównicę i zmiążdży bezczelnego oratora.

Lecz Mochnacki nie schodził ze stołu. Bolesny i szyderczy zarazem uśmiech roznamiętnił jego twarz. Z otwartych ust bieliły się wysunięte zęby: zda się, wraz zetną się szczęki, a z warg padnie wyzwisko obelżywe jak plwocina. Prawą rękę od czasu do czasu wyciągał ku ciżbie, a lewą z wściekłością dusił lufę karabinu.

— Asan chcesz koniecznie klusek na kolację, ano prosimy — ryknął jakiś obywatel w ogromnej, futrzanej czapie, mierząc z długiego pistoletu w pierś Mochnackiego.

Wówczas osiągnęło kilka rąk z dołu, złapało mówcę za nogi i gwałtem ściągnęło na dół. Natychmiast otoczono go, przemocą wzięto pod ramiona i ukrytemi drzwiami wyprowadzono na dziedziniec.

Mochnacki wyrывał się,

— Puście, panowie! na Boga czy na szatana wzywam — zwolnijcie! Ojczyzna w niebezpieczeństwie! Wróćę i wyłuszcę tej obalamuconej hałastrze, że tu, w tej sali dźwigniona będzie z martwych Polska, jeśli mię posłuchają.

— Pomiarkuj się, Maurycy! Zali nie spostrzegłeś, jak celował w ciebie ów hreczkosiej!

— Duchem kulę jego obłakam! odbije się o moją pierś, jak o pancerz! Serce moje wiedzące dziś jest i nietykalne! Oko moje widzi przyszłość, jakoby boginię zwycięską, w laury przystrojoną — jeśli mnie posłuchają! Biada, jeśli oślepną i nie wezmą drogi, którą ja wśród nocy rozeznaję — mówił w ekstazie, szarpiąc się i wydzierając.

— Nie puszczę, choćbym ci miał rękę wykręcić, nie puszczę—powtarzał, borykając się z nim, Adam Gurowski.—Radzę, abyśmy się stąd jak najprędzej oddalili. Wylegną z sali i zagarną nas spiskowcy.

— Spiskowcy?! podchorążowie?! — zapytał, ochłoniawszy Mochnacki.

— Inni spiskowcy, zręczniejsi, niż ty, niedoszły Robespierzel — chichotał Gurowski.

— Któż na Boga! Nie osłaniaj się tajemnicą.

— Najemnicy Lubeckiego...

— Lubeckiego —?

— Heł heł Długie ma ręce książę pan. Z banku sięgają aż po sam Petersburg.

Mochnacki zakipiał. Czoło wzburzyło mu się sznurami zmarszczek, usta zacięły w zawziętości, oczy strzeliły nienawistnie.

— Ja go ukróczę, tego dusigrosza przebiegłego—zaświszczał.

— Skrócisz go, powiadasz—szepnął podstępnie przyjaciel.

— O głowę...—rzekł Mochnacki do ucha.

— Albo on ciebie — cynicznie zauważył Gurowski.

— Albo on mnie! — tak — przysięgam! Ja go zmiotę, albo on mnie — przysięgam! — zgrzytał Mochnacki.

— Zanim jednak przedsięweźmiesz działania równie wielkie, jak te słowa, bierzmy nogi za pas, Maurycy. Chodź do mnie, ukartujemy plan gazety.

— O inkauscie zamyślasz, bracie, i o gęsim piórku—teraz!—zadrwił Mochnacki.

— A ty śnisz o skrzydłach orlich i o krwi ministerjalnej.

— Bądź zdrow... literaciel

— Do zobaczenia... Dantoniel Do zobaczenia... w redakcji!

— Albo w komitecie rewolucyjnym, albo w piekle! Adamie, tchórzysz?

— Runęliśmy, bracie, od jednego zamachu jego książęcej mości.

— Zapominasz, że jeden sposób zawsze nam pozostaje — — bagnety!

— Albo szubienic!

— Tchórzul

— Literaciel

Starły się ich spojrzenia ze sobą, jak klingi dwu szabel. Mochnacki założył ramiona na piersiach i bił wzrok em, jak żagwią. Gurowski pierwszy ugiął się i cofnął.

Mochnacki pośpiesznym krokiem udał się do domu.

Aczkolwiek było już późno, chociaż trzecią już noc czuwał, mimo to usnąć nie mógł.

Ognistemi kłębam i geniły w mózgu myśli ważne, jak sprawa, szalone jak te zdarzenia, które od trzech dni przewalały się po ulicach Warszawy, wśród świstu kul, wrzawy tłumów, dudnienia armat i tupotu przemaszerowujących pułków.

Obłęd swobody otumaniał głowy i zniewieścił serca. Uniesienie chwili, do której tęskniło miasto, jęczące pod żołnierskim obcasem Konstantego, pozbawiło rozumu insurekcję. Nierząd swawolny, lekkomyślny zasiadł na wężach stolicy, niby gołąb, niosący różaną gałązkę pokoju.

Trzeba, żeby jastrząb o krwawych szponach, oku zimnem i zaborczem, jak haki, o pazurach ostrych, jak nóż gilotyny, rozdarł trzpiotowate serce turlikającego arlekina i rozpostarł nad Warszawą swe skrzydła żelazne.

Mochnacki usiadł na posłaniu.

Trzeba pchnąć wojsko w pogoń za Konstantym, ogień zapuścić w prowincje zabrane, skrzyknąć lud, dać mu siłę, jeśli jej z siebie wykrzesać nie mogą głowy sędziwe i sterane przez ból, czy rutynę. Niechaj żelazny ptak rewolucji pomknie od morza do morza, wzburzy lasy, ziemie i wody, pożar niech zajmie strzechy, zaścianki i pałace, wolność obwieści całej Polsce, pobudzi ten naród potężny, lecz płochy, ale bitny, jak żaden, wyjąwszy Francuzów.

— Któż to uczyni?

Mochnacki kroczył po komnacie, załamując ręce.

Któż zagłębi ramię, prawdy chciwe, w serce miłujące ojczyznę i wydrze zeń moc, za wolą nieba czy piekła?

Ledwie zaświeciła nad miastem jutrzienka swobody, a już gad nikczemny, płaz, samolub w żółwiej skorupie, chytry ów minister wyrzwał i przenikliwym dowcipem tłumi pożary święte.

— Ty mu zetrzesz łeb — myślał o sobie Mochnacki. — Ty jeden, gdy ujmiesz ster, poprowadzisz nawę rewolucji na wzburzonych falach serc do zwycięstwa!

Tak! on dzisiaj urągał mi przez usta gminu, on mnie pierwszy wyzwiał. Opętać mnie nie zdołał, jak tego żołnierza o zatwardziałym mózgu, jak owego dyplomata o słabem sercu i bojaźliwej myśli, jak owego poetę niedołęznego a pocziwego.

Och wy! — wy mężowie aż do podłości cnotliwi, wy głowy narodu bezmyślności, wy mądre serca bez krwi, ręce bez żył, bez piorun!

Nie widzicież, jako ginie ojczyzna, jako wy własnymi rękami zakuwacie kajdany, które młodość jednym ciosem kolby potrzaskała?

Cóż cię omamiło, narodzie polski, że ku wolności wyciągasz ramiona, a gdy ją pojmiesz, sam ją mordujesz?

Za czyją sprawą jesteś jako dąb od wewnątrz butwiejący? — przybliżał się myślą do labiryntu dziejów... i zadrżał.

Cóż to za lęk?

Jakiż to puszczyk zaświstał?

Czyżże to śmiech ozwał się w najtajniejszej komorze serca?

Zgrozą i strachem przejęty stanął, jakby wyczekując na odpowiedź.

— Zdrada u Karmelitów! — szepnęło sumienie.

Drżenie chorobliwe zachwiała czuciem, co jak strzała prostym i nieomylnym szlakiem szło, jasne i widzące, niby promień słoneczny.

O doło! — doło!

Struchlała dusza rozpięła się na wyostrzonych gwoździach męki, pastwiącej się nad zmarłym duchem.

Mochnacki upadł na łóżko wyczerpany.

Skoro się ocknął, świtało już. Wzniósł poświadek z bólu oblicze i mętnym wzrokiem zawisnął na portrecie Dąbrowskiego. Ukląkł i wyciągnął rękę ku niemu:

— Matko, z grobu wychodząca! Za ów grzech podły cały się Tobie ofiaruję aż do skonu. Tak mi Panie Boże dopomóż i Ty, cieniu wielki a szlachetny!

Od samego rana pędził Mochnacki na koniu po ulicach miasta. Z jego twarzy skupionej i bladej jaśniało natchnienie. Nie było to już właściwie myślenie, to, co się w nim odbywało, gdy jak duch insurekcji mknął po mieście, lecz jakby

obcowanie z genjuszem narodu, który na chwilę obrał sobie siedzibę w sercu szalejącego młodzieńca. Wszelka idea wytryskała z mózgu, jak z pączka wytryska poranku wiosennego kwiat świetny i odrazu pełny. Ani przez moment nie mąciła głowy myśl spreczna; nieufna, podejrzliwa. Wszystko stanowiło jawną, dotykalmą niemal prawdę. Ten stan ducha objawiał się fizycznie w zgodności i ładzie ruchów całego ciała. Koń nawet zdał się należeć organicznie do osoby jeźdźcy, który, owinięty czarnym, obszernym płaszczem, pędził przez gwarne ulice miasta, jak płomień.

Takim był, gdy, zdarłszy konia tuż przy gromadzie rzemieślników dysputujących przed zamkiem, przemówił:

— Czegóż to stoicie tu bezradnie, obywatele, włodac mizerne swary? Zali rąk waszych nie gryzie broń, łaknąca krwi nieprzyjaciela? Konstanty umyka bezkarnie, wojsko nasze mitręży czas drogocenny, jak wolność, z winy wodzów— a w izbach rządu zdrada, jak podły Judasz, usypia oczarowane głowy pocziwych, ale tchórzliwych senatorów i jenerałów. Obywatele! Upadnie Polska, gdy wy nie obnażycie oręża przesławnego z czasów Kilińskiego; w głuchy bruk wsiąknie nadaremno czcigodna krew podchorążych. Rozsypujcie się po ulicach, placach, zaułkach i domach, wołając: zdrada! zdrada! Niechaj za waszem przyczynieniem się zahuczy miasto jednym hasłem: Śmierć Moskwie i jej służalcem!

Jak pękająca bomba prysnął okrzyk jeźdźcy, Mochnacki spał konia i zapuścił się w Stare Miasto, a jeszcze o mury zapleśniałe tłukło się echo groźnej odpowiedzi sejmujących obywateli.

Kiedy przedzierał się jedną z wąskich uliczek

Starego Miasta, usłyszał z piętra pewnego domu ciche wołanie:

— Panie Mochnecki!

— Kto woła? — zapytał.

— Przyjacieli...

— Przyjacieli? Nie mam przyjaciół! Ale słucham, mów pan prędko, czas nagli!

Odemknęło się szerokie okno, a z niego wychyliła się siwa głowa:

— Strzeż się Lubeckiego! Po mieście rozprzestrzeniają paszkwile. Pismo ministerskie plwa na cię, spotwarza cię jako terrorystę i denuncjanta. Głoszą, że wdarłeś się do Chłopickiego i nazwałeś go zdrajcą, co generała tak rozjątrzyło, że go krew zalała i teraz dogorywa. Jakieś ciemne osoby szczują lud przeciwko tobie. Miej się na baczność!

— Dzięki ci, obywatelu, ale obawy twoje płonne są. Obróci się gniew ludu przeciwko jego sprawcy.

— Bóg cię strzeż, śmiałku!

— Polska mnie chroni — nie zginę!

Popędził dalej.

Nasunął tylko kapelusz na czoło, ażeby trudniej było poznać twarz, i z tym większą gorącością burzył, rozgrzewał i judził. Spotykając drobną grupę ludzi, wołał jeno: zdrada! — i przemyskał obok, a natknąwszy się na kupy znaczniejsze, osadzał konia i przemawiał. Napotykając wojska, stawał, tłumacząc, przekładając i zaklinając, a jego słowo niby wichry, rozganiające mgły w górach, pokazywało słuchającym zgubę przepaści, w którą niecni lub słabi ludzie chcą stracić naród. Złowrogo szczykała broń w garści prostego żołnierza, zadumywali się oficerowie.

Mochnecki pędził dalej.

Zabłąkawszy się w tej zapamiętałej gonitwie gdzieś na krańce miasta, zoczył na wałach ludzi, kopiących dół i obciosujących belki.

Poskoczył ku nim:

— Co tu obrabiacie, obywatele?

— Huśtawkę strugamy, panie—odparli.

— Któż to będzie się kołysał na tej wysokiej huśtawce, obywatele?

— Zdrajca, panie, i zabójca wodza.

— Jakież jego nazwisko?

— Pono Mochnacki.

— Łzesz, głupczel—straszny głośm trzasnął w niego Mochnacki. — Zdrajca, dla którego stawiacie szubienicę, zowie się Ksawery książę Lubecki, najszkodliwszy robak, jaki kiedybydźkolwiek toczył wnętrzności waszej ojczyzny.

Odbiegłszy kilkanaście kroków od ogłuszonych cieśłów, zatrzymał konia, i spuściwszy głowę, rozważał:

— Teraz losy zawyrokują... Do podchorążych!—zapadła szybka decyzja.

Cwałem puścił się, mijając rozgorączkowanych przechodniów, nie zważając już na uliczne, zgiełkliwe sejmiki, w milczeniu galopując wzdłuż przeciągających oddziałów wojska. Wpadł na dziedziniec koszar przy ulicy Orlej, zsiadł z konia i wypalił z pistoletu w powietrze. Jak na alarm jęli się wysypywać podchorążowie, biegnąc z karabinami w rękę, jak do ataku.

— Gdzie Wysocki?—zapytał z namiętną ciekawością gromadzących się naokoło niego młodzieńców.

— Poszedł na miasto.

— Nie mamy czasu do stracenia. Obywatele-żołnierze! Znacnie wy mnie! Jestem Maurycy Mochnacki, tensam, którego nędzny minister roz-

głosił dzisiaj po stolicy jako człowieka, dybiącego na zdrowie jenerała Chłopickiego, jako terorystę, klubistę, zapaleńca, gotowego Warszawę skąpać w strumieniach krwi. Mam-że wyklądać wam, iż wszystko to jest wierutne łgarstwo, wybieg, godzący w to, ażeby w samem poczęciu wniwecz obrócić chlubne dzieło wasze, noc 29-go listopada? Tenże minister opętał Chłopickiego, Czartoryskiego, Niemcewicza, Lelewela, on to dał wycofać się Konstantemu, on paraliżuje rozwinięcie się aż po Bałtyk i Morze Czarne, on jest złowieszczym duchem, który ojczyźnie naszej gotuje śmierć haniebną. Tej poczwarze łeb trzeba urwać bezwłocznie, a ktoby cios ten zadać się wzdragał, spadnie na niego odpowiedzialność za losy ojczyzny. Żołnierze! Na ramię broń! Idziemy do Banku! Wahacie się, podchorążowie?

— Na Bank! na Bank! — zagrzemiał chór.

Wnet uszykowali się i żwawym krokiem poszli za Mochnickim, który z karabinem w ręku, posępny, jak paszcza armaty, wiódł tę młodzież zapalną na dokonanie krwawego zamysłu.

Na rogu, gdy już oddział, sunący niby wrząca lawa, zakręcał na Leszno, rozległa się komenda: — stój!

Zatrzymał ich Piotr Wysocki, który właśnie powracał z miasta.

— Dokąd, podchorążowie? — na czyj rozkaz?

— Na Bank, poruczniku! Mochnicki prowadzi — gwarnie odpowiadali, potrząsając karabinami.

Wysocki zwrócił łagodne, ufne, lecz zapalczywe oczy na przywódcę.

— Na wroga twojego i mojego, na wroga ojczyzny! — rzucił weń Mochnicki słowem, jak pochodnią.

— O kim-że to mówisz? — zapytał zcicha Wysocki, niby nie rozumiejąc.

— Niepodobna, abyś nie przeczuwał...

— Lubecki—?

— Czasami naród karcii sposobem nagłym, jak strzał Bywa nieraz, iż naród dla swego ocalenia żąda krwi i błogosławione jest wtedy ramię karzące. Jeśli żyje dzisiaj Polak, którego serce nie uderza jednym uczuciem z tą oto młodzieżą, ojczyzna domaga się, ażeby taki Polak zginął. Bierzmy naukę od Francuzów!

— Nigdy Polak nie splamił swego honoru mordem na zimno wyrachowanymi — krótkim głosem replikował Wysocki.

— Otóż ja zdruzgocę tę tchórzliwą tradycję jako spróchniałą kolumnę niewolił — zawołał Mochnacki głosem, wzbierającym już od gniewu, i stuknął kolbą w bruk.

— Ale ja na to nie pozwalam! — zakrzyknął porucznik, wyzywająco wcierając się wzrokiem w Mochnackiego.

Wówczas Mochnacki pohamował się w sobie. Dźwięk jego głosu złagodniał i jakby napęczał powściągliwym żalem:

— Zbyt wielu sideł, które nam los zadzierzgnął na drodze, nie przejrzałeś, Piotrze... Zali i teraz nie chcesz rozmotać jednym cięciem niecznych knowań dyplomatyki bankierskiej?

— Wiem ci ja, że sprawy źle idą... — odrzekł Wysocki, a jego twarz pokryła się chmurą bezradnego smutku.

Wtedy Mochnacki natarł na niego całym impetem:

— Przeto dobądź siłę z twej piersi! Górnym orłem zleć na lichego płaza, roztargaj go! Waż w czułem sercu nie życie lub śmierć jednego

człowieka, ale niech twem sumieniem poruszy groza zatracenia wszystkiej ojczyzny. A nie masz dość wielkiej ofiary, której Polak nie powinien położyć na szalę, gdy go Polska wzywa. Słuchaj, Piotrze! Ten człowiek, to szatan, chcący przytłuc głazem kalkulacji anioła wolności, zbudzonego w grobie za waszą sprawą — rycerska młodzi polska!

— Nad siły moje wymagasz — odezwał się Wysocki. — A jeśli mylisz się? Jeśli tylko ambicja podżega cię do tej zbrodni, Maurycy?!

Na te słowa przeobraziła się twarz Mochnackiego. Jakby ktoś z boku zaciął go gałęzią ostu. Usta zwinęły się w szyderczy, a zuchwały i dumny uśmiech, czoło zasępiło gniewem, niby grzywa szumiącej fali morskiej.

— Ha! — ha! tak jest! To jednakowoż wiedz, Piotrze, że dziś mówi przezemnie ojczyzna! Ja chcę i wezmę rząd w swoje ręce, jeśli nie masz zdatniejszych. Na Boga! — dość tej bękarciej polityki, dość rozlazłego kunktatorstwa! Idziesz z nami... czy nie?! — rzucił ze wzgardą, pożerając go oczami.

— Nie! — hardo odbił Wysocki.

— Za mną, podchorążowie — naprzód! — zakomenderował wówczas Mochnacki, stając piersią do żołnierzy i potrząsając karabinem, jak sztandarem.

— Stój! — huknął Wysocki. — Wtył zwrot — do koszar!

Stał przed szeregiem i wyciągniętym pałaszem zagroził im drogę:

— Chyba po trupie moim!

Zamęt wszczął się wśród żołnierzy. Zaszemrały szeregi i zaczęły pękać.

Mochnacki skoczył na czoło kolumny. Zdało się, jakby skry sypnęły z jego rozgorzałej twarzy.

— Za mną, podchorążowie, zbawiciele ojczyzny! — wezwał głosem grzmiącym.

— Stój! — Wtył zwrot! — marsz do koszar! — huknął porucznik, podnosząc do góry pałasz.

— Bohaterowie z Belwederu! — podchorążowie białego orła! — podburzał Mochnacki.

— Żołnierze! — twardym, nieugiętym głosem wgniatał Wysocki dusze pod stalowe jarzmo dyscypliny.

Rozkaz przesilił słowo.

Ucichło w szeregach młodzieży wybladłej, stropionej, lecz już posłusznej. Byli już pod Wysockim jako nabój armatni, czekający na iskrę lontu.

— Do koszar! — pchnął ich jeszcze.

Niby członki stugłowego smoka, zwinęli się, zawrócili i, lśniąc złowrogo sierścią bagnetów, ruszyli назад.

— Gorze nam! — gorze mnie! — jęknął Mochnacki, z rozpaczą stwierdzając, że mu wysunął się z rąk ostatni, niechybny pocisk. Zginałem! Któż mię posłucha, jeśli najlepsi zdradzili?!

Zmąconem wzrokiem toczył naokoło. Ostatnim wysiłkiem wzbil się na szczyt poznania i, niby latarnią w ciemnym lesie, szukał.

Pracę tę przerwała mu jakaś postać ludzka.

Wzrok jego zachwycił figurę człowieka, stojącego o kilka kroków z boku. Człowiek ten, o twarzy brzydkiej i ponurej, nieśmiało oczami, ale natrętnie obmacywał jego osobę. Płomień hańby i wstydu objął Mochnackiego od stóp do głowy.

Był to bowiem stróż z więzienia Karmelitów.

Mochnacki porwał za karabin i zmierzył, lecz zanim zdołał pociągnąć za kurek, ów człowiek zgiął się i zwinnym susem, uchylwszy się z pola

strzału, uciekł. Mochnacki chwycił oburącz za lufę karabinu, zawinął nim w powietrzu i grzmotnął kolbą o bruk. Karabin złamał się na dwoje.

Pot perlił się kroplami na twarzy Mochnackiego, piersi gwałtownie łapały powietrze. Jakby zagnał obudzony jął się rozglądać.

Zaczynał pojmować...

Teraz dopiero ogarnęło go śmiertelne wyczerpanie. Nikłym krokiem, pochyliwszy głowę, szedł wprost przed siebie, snując dumania bez pojęć i wyrazów, ciekące same z siebie, jak lepki namuł. Zboczył w jakąś ulicę, mijał jakichś ludzi, na nic niepamiętny, ślepy na rzeczywistość, zmartwiał.

Nagle dosłyszał swoje nazwisko, hałaśliwie wykrzykiwane przez wielu ludzi.

— Mochnacki! — Mochnacki!

— Poznajesz go?

— Widziałem go przecie wczoraj, jak zmykał z sali, aż się za nim kurzyło.

— Mamy ptaszka! Ha! Ha!

— Trzymaj! łapaj!

— Goń!

— Małżonka ubrana do ślubu—ino wzdycha...

— Ze aż trzeszczy.

— Obcałuje cię, uhołubi.

— Przytuli gorąco!

— Na wieki!

— Huż—ha!

— Dziś nam nie czmychniesz!

Ostatnie okrzyki rozbiły się już niemal o plecy Mochnackiego.

Jeszcze chwila, a byłby się dostał w ręce pospólstwa. Bo zrazu słyszały mu się te głosy daleko i obojętnie, jakby wycie motłochu nie dotyczyło jego samego. Zatraciło się w nim po-

czucie realnego istnienia, a do tej sfery, w której przebywał, przesiąknęły głosy motłochu, niby wąle echa życia, dochodzące zapewne człowieka pogrążonego w letargu. W pierwszym czasie nie wywabiły instynktu na poziom świadomości, lecz następnie zatliło się od nich w podziemiach jestestwa czucie ożywcze i żarliwe, niby jedno westchnienie, jedno wytryśnięcie ducha wieczystego, nakazujące trwać.

Pogoń już, już dosięgała celu.

Wtedy uniósł się w sobie i począł biec. Kilku pierwszemi skokami odrazu wyszarpnął się z tłoku. Przeleciał obok kilku domów, ale były zamknięte. Dalej rozciągała się przestrzeń, zarośnięta drzewami, a za nią wznosił się budynek bankowy. Postanowił uciekać w stronę banku, spodziewając się znaleźć tam jakąś pomoc. Ale przed bankiem krążyły gromadki ludu, którego czujność obudziło szczucie ścigających.

— Mochnacki!

— Nie puszczaj!

Już czyjeś ręce ścisnęły zbiega w plecach.

— Mochnacki! Mochnacki! — rozległy się wrzaski i gwizdania.

— Dawać go!

— Na szubienicę!

Wówczas za szybą gmachu ukazała się nieco obrzękła, blada twarz. Ujrzał ją jeniec. Na ten widok z jego oczu wyblysnęły dwie błyskawice, jak dwa węże, i z nienawiścią wpiły się w spokojne, szare źrenice ministra. Mochnacki zgarbił się, jak kot, ściągnął mięśnie i, rozprężwszy je potem w karku, plecach i ramionach — prysnął wprzód, jak fontanna. Wywrócili się odepchnięci tym nieoczekiwanym wybuchem siły ludzie, krępujący więźnia. Roztrącił jeszcze kilku, próbujących go obez-

władnić, wpadł na szerokie, kamienne stopnie, otworzył bramę—i odetchnął dopiero w korytarzu.

Z bocznych drzwi właśnie wychodził na jego spotkanie Lubecki. Uderzył w Mochnackiego spojrzeniem, jak prętem, i, uśmiechając się bezdźwięcznie, rzekł po chwili:

— Niebezpiecznie jest tak wysoko latać, panie Mochnacki!

Poczem skinął głową i, uczyniwszy ruch zapraszający, głosem uniżenie grzecznym dodał:

— Gościa tak nieoczekiwanego witam. Na honor, że chyba dymisja od Najjaśniejszego Monarchy mniejby mnie zdolna była skonsternować. Gość w dom, Bóg w dom.

Mochnacki, milcząc, pierwszy przestąpił próg komnaty. Za nim wszedł gospodarz i dokładnie zamknął drzwi.

— Przejdźmy jednakowoż do gabinetu. Będzie nam ciszej. Te prawdziwie za głośnie tumulty z ulicy czyniłyby trudnemi spokojne rozprawy. Znieść nie mogę demosu.

Weszli do zacisznego pokoju z oknami na ogród. Mochnacki, usiadłszy, zuchwale wczepił się oczami w ministra.

— Odpowiesz mi za to przed narodem, mości książę! — wyrzucił z siebie, jeszcze dysząc i sapiąc.

— Bah...! — rzekł książę, pyknął i wypuścił z fajki kłęb dymu.

— Przed trybunałem ojczyzny staniesz, książę! Lubecki zakaszłał, lecz zaraz przytłumił chusteczką ten nieprzystojny hałas.

— Szczerze radbym wiedzieć, gdzie to ów trybunał sądy swoje sprawuje?

— W piersiach wulkanu, którego nazwanie jest—lud!

— Zaczynam się dorozumiewać. Niemniej okoliczności wyznać każą, że ów właśnie trybunał użył mi szczęścia goszczenia pana pod moim dachem.

— Loika sofistyczna, mości książę!

— Tak dobitna, jak wyraźne jest oblicze Najmiłościwszego Króla na polskim dukacie.

— Tak — —! Książę stanął na zawadzie ruchowi, który rozerwał ministerskie pałace z kart jednym atakiem swej woli.

— Czy rozerwał? — ośmielił się okazać powątpiewanie uprzejmie poważny gospodarz.

— Na czerepy połamał książęce systema!

— Żywię nadzieję, że nasze systema powiedzie nam się zdrutować, a że to nie jest czcze omamienie, o tem jaśnie przekonywa ostatnie nasze zwycięstwo.

— Zwycięstwo?

— Przytomność najdzielniejszego herolda emeuty ulicznej w banku.

— Drugi raz już świeci mi książę w oczy tym argumentem. Prawdziwie przeczuciem ostrzeżony, rozsnułeś naokoło mej osoby kabałę, wiedząc, że jeżeli kto, to ja mogę wniwecz obrócić wasze zdradliwe machinacje. Ale gra jeszcze nie skończona, kości dopiero co rzucone...

— Przedwczoraj rzucone, a dzisiaj wygraną trzymam oto w ręku.

— Zawodna bywa maska fortuny — sarkastycznie odparł Mochnacki.

— Nie fortuna dała mi przewagę, lecz rachunek.

— Jest granica, poza którą rachmistrzostwo prowadzi jeno do porażek...

— Partacz zawsze przegrywa, albo niedoświadczona a fantastyczna głowa, panie Mochnacki.

— Zatem zważ, mości książę, żeby jakowyś błąd nie wkraść się w twą arytmetykę. Teraz pora rachować pierwiastki, nie mające ceny: krew i natchnienie narodu!—Za krzywy rachunek można drogo zapłacić!

— Czemże to?

— Głową..

— Unosisz się, młodzieńcze—surowo ostrzegł Lubecki.

— Możesz zostać podniesionym, mości książę!—krzyknął Mochnacki.

— Któż to mi grozi?—zapytał Lubecki zimno.

— Ja!

Teraz dopiero Lubecki wypuścił zaczajony gniew.

— Ty? Któż to jesteś asan? — rzekł, śmiejąc się ironicznie, i odchyliwszy się na fotelu, z wysoka oglądał swego gościa, jakby go dopiero w tej chwili zobaczył.—Zdolny literat, który nie potrafił w więzieniu trzymać języka za zębami.

— Haniebną jest rzeczą walczyć takimi argumentami, mości książę — drgającym głosem zawołał Mochnacki.

— Nie, panie! Haniebną rzeczą było i jest denuncjować — przytłoczył go Lubecki. — Kimże to jeszcze jesteś asan? Gadułą, demagogiem, którego bawia słowa, z prawdziwą swadą wygłaszane po klubach i kawiarniach? Jakóbin, któremu marzy się triumf francuski? Ależ ja was wszystkich w tydzień pozbieram do kojca, jak hałasujące koguty. Zainicjowaliście ruchawkę, napsociliście, jak żaki, obraziliście wielkiego księcia, wypłoszyliście episjerów z po ciepłych pierzyn — a teraz sami nie wiecie, jak wypić to piwo, któreście nawarzyli. Wypadło nam dopiero z pomocą mężów rozsądnych i cieszących się zaufaniem

narodu wziąć kierunek spraw we własne ręce, aby wprowadzić ład, a rozzuchwalonym młokosom pokazać bizun! — Od jakiej-że to potencji posłujesz tu, zbiegu, ścigany przez własnych partyzantów? W imieniu czyjem perorujesz asan? Któż jesteś, że mi grozisz, mniel — ministrowi Najjaśniejszego Króla! Jakóbiny! — co proszą swych wrogów o przytułek — przed tym uwielbionym ludem!

Mochnacki porwał się z fotelu z podniesioną ręką;

— Milcz, płatny urzędniku!

Lubecki odstąpił kilka kroków i klasnął w dłonie.

— Trzeba was zdusić własnym postronkiem! — szepnął mściwie i rzekł do lokajów: — Wyprowadzić na ulicę tego człowieka. — Oddaję cię ludowi — ha! ha! Mierz siły na zamiary — panie romantyku! Ha! — ha!

Na te słowa cikliwa, fizyczna nudność napłynęła z gardła do ust Mochnackiego, ciemne tumany osaczyły go zewsząd. Z ust wyrwał się przykry jęk. Zgiął się w ramionach podtrzymujących go lokajów i stracił przytomność.

Służący spojrzeli na księcia.

Lubecki z dziwną ciekawością oglądał zsiadłą i wychudłą twarz wroga, podobnego teraz do podstrzelonego orła.

— Il faut sauver ce jeune homme! — mruknął do siebie. — Zanieść do małego gabinetu, ocucić i pilnować u wejścia — kazał służbie.

Kiedy Mochnacki podniósł powieki, pierwszy ruch świadomości odsłonił mu bolesną ranę: „pokonany”. Zamknął oczy, próbując usnąć. Mózg jego płonął, szalał i pryskał, jak dach pożerany przez ogień. „Niebieśnie pokonany” — zobaczył znowu, ściskając dłońmi czaszkę.

„Gdzie tkwi pomyłka, w jakiej szparze ukrył się robak klęski?” Skupiał się, zwierzał w sobie czucie i wyćwiczoną władzę myślenia przechadzał się po królestwie swej wiedzy, badając, jak zegarmistrz, rozkładający werk zegarka. Na polach wyraźnie wiedzącej myśli przekradł się cień stróża od Karmelitów. Ból, jak po otzymaniu policzka, przerwał świadomość bezlitosnym nożem.

Znowu starał się przytłumić świadomość i usnąć. Nagle wspiął się w nim płomień buntu. „Wszakci widzę, wiem, znam, że sprawa ginie — Boże miłosierny! Jeśli tak, przecz nie mogę otworzyć oczu braci, pogrążonych w ciemności?”

Rozpacz niemocy przejęła go cierpieniem nie dającej się opisać katuszy. Zgroza pieściła go drapieżnymi pazurami. Z gorejącego serca wołał głos Matki do syna: „ratuj”!

Szlochał.

„Czemuż to moje słowo nie wpada w ich uszy, jak nasienie w otwarte łono ziemi? Dlaczego, gdy wskazuję, nie szukając dla siebie niczego, nie idą za mną?”

W śmiertelnej męce zarył się w głąb ducha, pragnąc dobrać się do samych wnętrzości bytu, które są, ogniste jako centr ziemi, a przykryte wiekowemi warstwami stwardniałej skorupy. Z tego środka, gdy pracował krwawo, kopiąc za prawdą, zajaśniał promyk światła przeraźliwej treści: „Zatraciłeś czystość serca czyniących sprawy dobre. Przeto odebrana ci jest moc, która, gdy błysnie, zabija”.

Skurczył się i w odrętwieniu cichem długo zaglądał w szczelinę, przez którą dane mu było widzieć sprawiedliwy sens rzeczy..

Przerwało mu tę mękę wejście Lubeckiego.

— Ha!—ha!—klubista medytuj! A tu właśnie przysłano mi wiadomość, zapewne nie obojętną dla pana; generał Chłopicki powziął zamiar ogłoszenia się dyktatorem dla tym skuteczniejszego sposobu prowadzenia negocjacji z Najjaśniejszym Królem. Dalejże, młodzieńcze!—ironicznie mignął nań okiem książę—zawołaj: vivat dyktator!

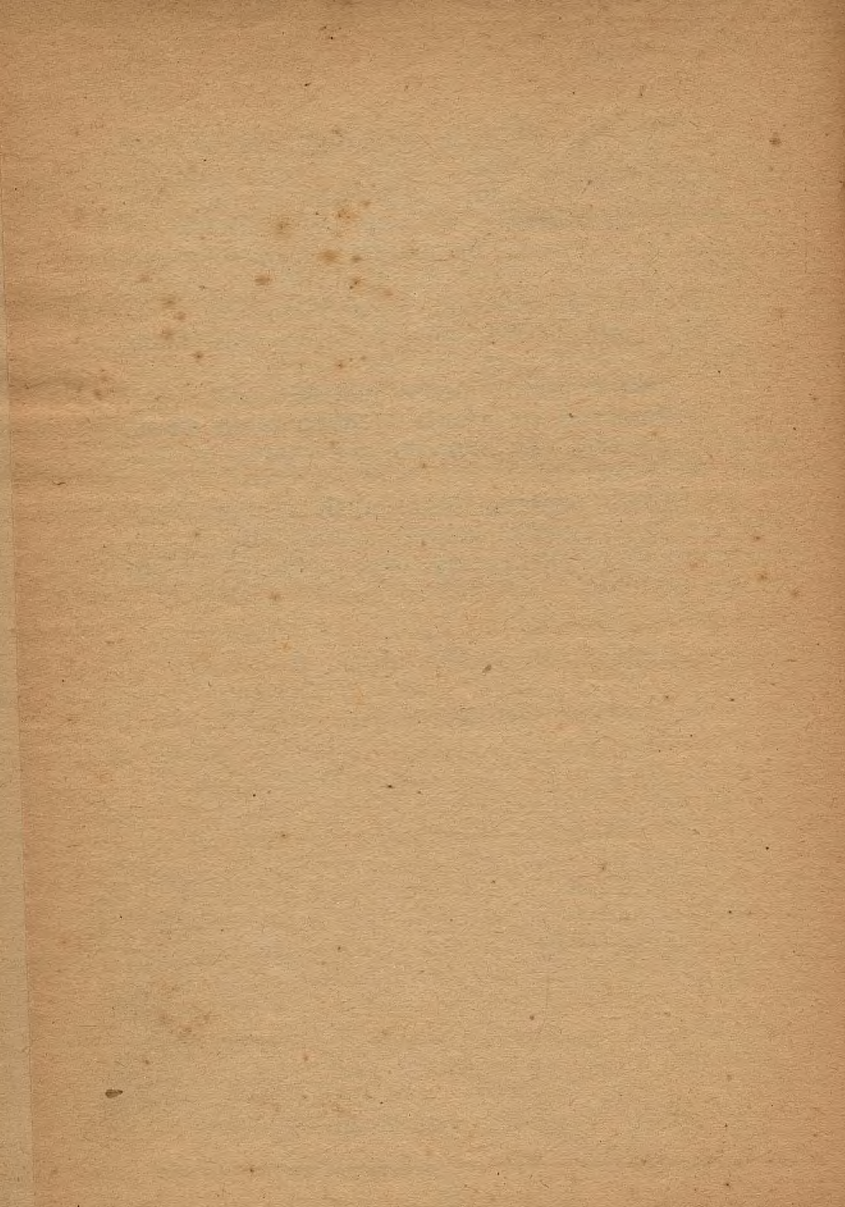
Mochnacki, wykrzywiwszy twarz uśmiechem szyderczym i bolesnym, zawołał:

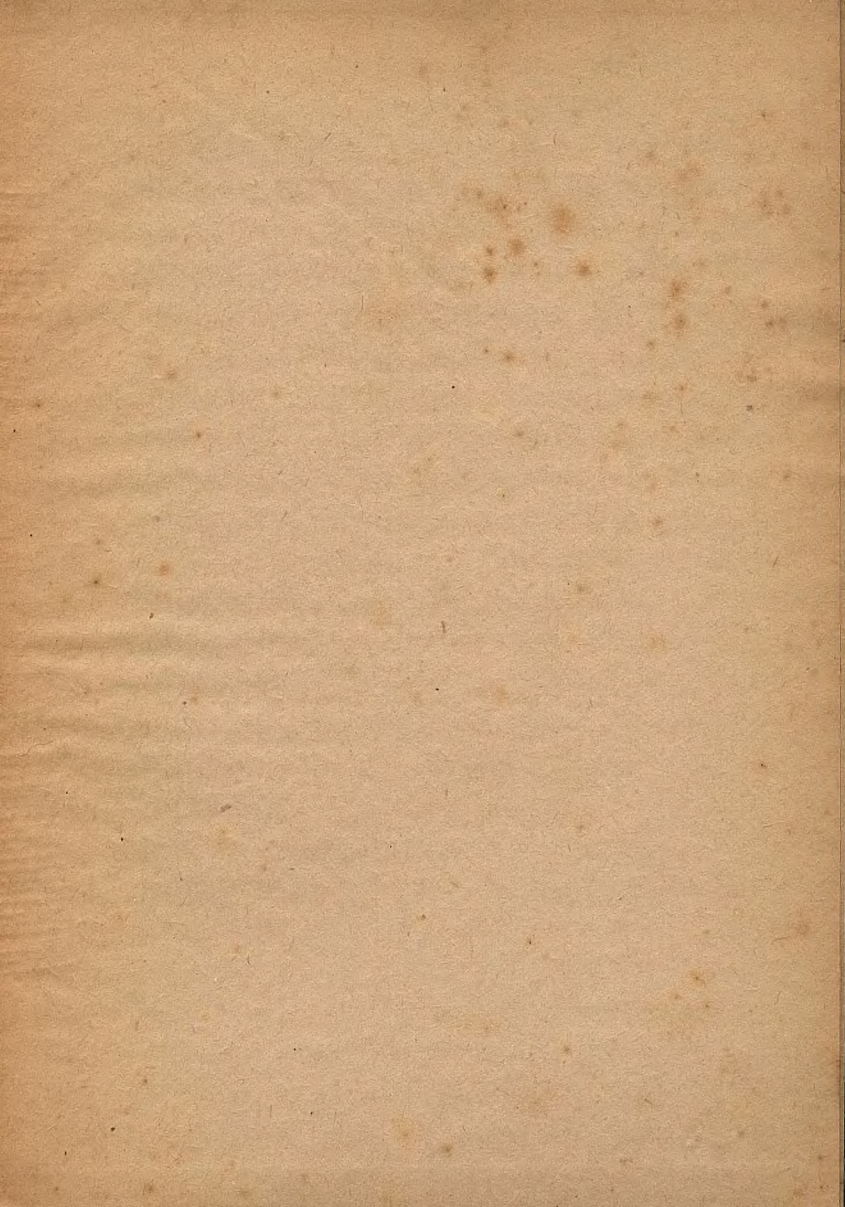
— Vivat dyktator, pereat patria!

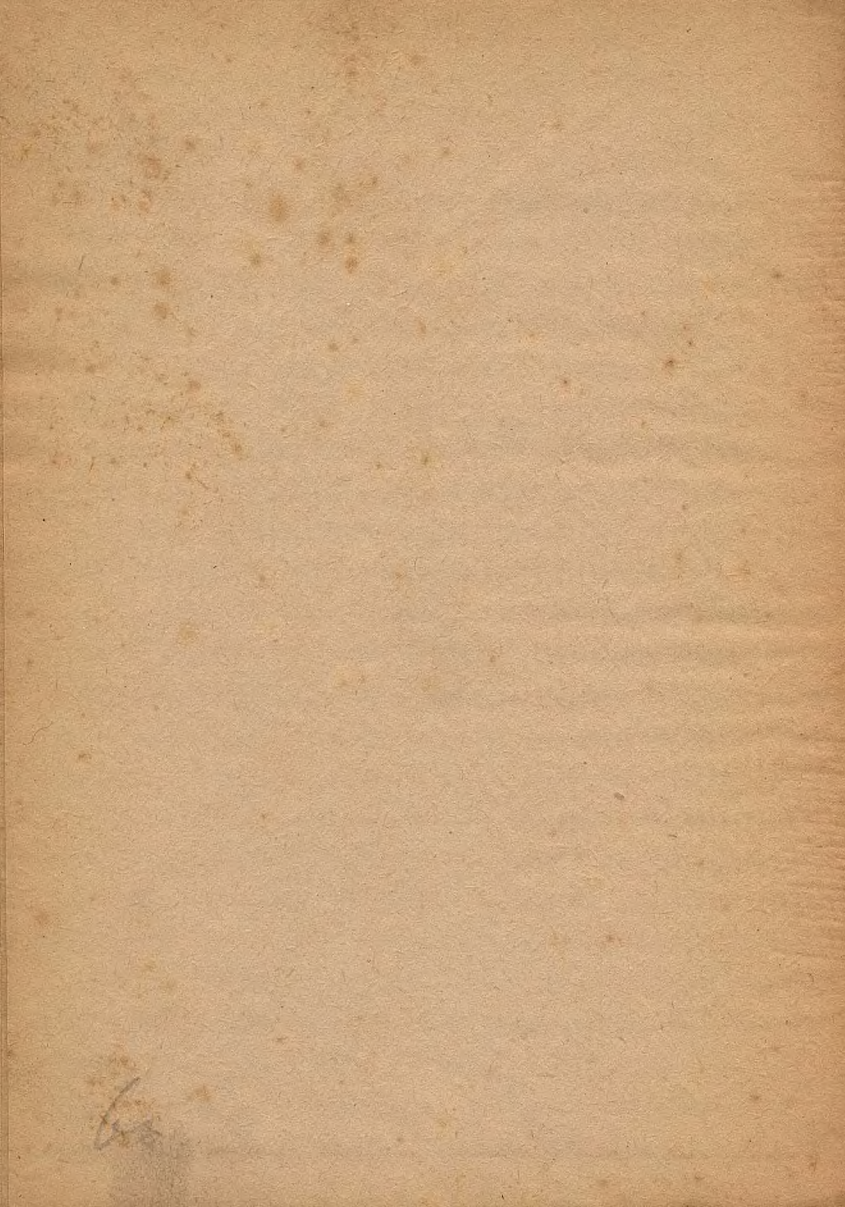
— Rozsądna kalkulacja i jedyna racja stanu, panie Mochnacki—rzekł na to, potrząsając ramionami, minister.

— Strach, zgrzybiałość myśli i oświecona pustka w sercu, mości książę—odparł Mochnacki, a przepalone gorączką oczy rozpaczały, jak u strąconego szatana.









20

Biblioteka Śląska w Katowicach

Id: 0030000345118



I 318669

Kdd — 213/65 — 50 000 s. 7